

TYGODNIK
SPOŁECZNO-OŚWIATOWY

ROK LXVII

NR 52-53 ● 23-30 XII 1984 r.

CENA 15 ZŁ



GŁOS

NAUCZYCIELSKI



MIŁE, UDANE ŚWIĘTA

NIECH BĘDĄ

DOBRA ZAPOWIEDZIA

LEPSZEGO, 1985 ROKU,

PRZYJMIJCIE,

DRODZY CZYTELNICY,

TE ŻYCZENIA OD CAŁEGO

ZESPOŁU REDAKCYJNEGO

I ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZNP

Pol. GAW



9 LAT NA STUDIACH

PRZEDŁUŻONY FINISZ

WOJCIECH SIERAKOWSKI

Wszyscy biją na alarm: coraz więcej studentów ostatnich lat nie kończy nauki w pierwszym, przewidzianym w regulaminie studiów, terminie. Rośnie liczba przedłużających sobie czas beztrudnej akademickiej swobody. Na przykład z około 13 tys. studentów WSP i uniwersyteckich kierunków nauczycielskich kończących w tym roku naukę, dyplomy magisterskie w pierwszym terminie zdobyło zaledwie 4,2 tys. Czyli prawie 70 proc. studentów tych uczelni i kierunków nie przystąpiło w pierwszym terminie do obrony prac dyplomowych. Jest to fakt nad wyraz niepokojący. Tym bardziej że to kolejny „poślizgowy” rok. Jak długo trwać będzie ta niezdrowa sytuacja? Co na to Mi-

nisterstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki? Co na to uczelnie?

Wywołane „do tablicy” ministerstwo nauki kilka miesięcy temu podjęło trud zbadania zjawiska. Nie były to pierwsze sondaż tego typu, niemniej te ostatnie są rzeczywiście kompleksowe i szczegółowe. Wyniki, niestety, niezbyt optymistyczne: to, co niegdyś było tylko wyjątkiem, dziś staje się regułą.

Spośród prawie 38 tys. tegorocznych studentów ostatnich lat studiów w szkołach podległych MNSzWiT, do 15 VIII bieżącego roku obroniło prace dyplomowe 17,5 tys., a więc ok. 46 proc. Jednocześnie ponad 10 tys. absolwentów uzyskało zgodę na złożenie pracy dyplomowej do połowy listopada, prawie 9 tys. nie ukończyło pisa-

nia prac, ok. 4,3 tys. złożyło prace w terminie, lecz ich jeszcze nie obroniło. Analizując powyższe dane można by, co prawda, zacząć powątpiewać w zasadność tonów alarmistycznych, jeśli jednak rozbijemy je na elementy cząstkowe, obraz będzie nieco inny. Okazuje się bowiem, że w uniwersytetach z prawie 11 tys. dyplomantów do połowy sierpnia magisterium zrobiło tylko 4,2 tys., w akademiach ekonomicznych z 3,2 tys. — 1,4 tys., w wyższych szkołach technicznych spośród prawie 14 tys. studiujących na ostatnich latach — jedynie 4,3 tys.

O wiele większe różnice występują w przypadku terminowości kończenia tych samych kierunków w różnych szkołach wyższych. Na przykład na filologii polskiej

Uniwersytetu Poznańskiego do połowy sierpnia dyplomy obroniło ponad 51 proc. absolwentów, ale w Uniwersytecie Gdańskim tylko 6,3 proc. Na archeologii w Poznaniu w pierwszym terminie uporało się z obowiązkami raptem 15,4 proc. słuchaczy, podczas gdy w Uniwersytecie Wrocławskim wszyscy. Dyplomy z filozofii w Uniwersytecie Warszawskim zdobyło do 15 sierpnia tylko 6,6 proc. a we Wrocławiu połowa uprawnionych. Na budownictwie w Politechnice Lubelskiej tylko 3 proc. dyplomantów obroniło pracę, podczas gdy na tej samej specjalności Politechniki Białostockiej — prawie 90 proc. Przykłady można mnożyć. Generalnie mówiąc, w większości przypadków terminowość kończenia studiów jest bardzo różna i nie jest to związane ze stopniem trudności danego kierunku. Najgorzej kształtuje się sytuacja na kierunkach humanistycznych uniwersytetów i szkół pedagogicznych oraz na architekturze, relatywnie najlepiej na matematyczno-przyrodniczych, gdzie prace końcowe broni w pierwszym terminie 50–80 proc. dyplomantów.

Tak pokrótce przedstawiają się wyniki najnowszych badań i analiz. Dane te niepokoją. Można, oczywiście, zapytać, jak to się dzieje, że studentowi pozwala się na przekładanie terminów składania i obrony prac dyplomowych. No cóż, mówiąc krótko, umożliwia to regulamin studiów. Absolwent ma prawo złożyć pracę do

KRONIKA

(od poniedziałku

do niedzieli)

POSIEDZENIE SEKRETARIATU ZG ZNP

10 bm. odbyło się posiedzenie Sekretariatu ZG ZNP. Przeanalizowano informację o działalności międzynarodowej Związku, projekt konkursu historycznego z okazji 80-lecia ZNP oraz informację o realizacji planu inwestycji i remontów w 1984 roku.

W SEJMIE O BUDŻECIE OŚWIATY I NAUKI

Nad projektem budżetu oświaty i nauki na 1985 r. obradowała 10 bm. Sejmowa Komisja Oświaty, Wychowania, Nauki i Postępu Technicznego. W posiedzeniu komisji uczestniczyli m.in.: minister oświaty i wychowania — B. Faron, wiceminister MNSzWiT — S. Nowacki, prezes ZG ZNP — Kazimierz Piłat oraz wiceprezes KRN — Tadeusz Wiloch. Posłowie oraz zaproszeni goście krytycznie ocenili projekt planowanego budżetu, uznając, że powinien być on zwiększony tak w dziale „Oświata i Wychowanie” jak też w dziale „Nauka”.

W SEKCJI SZKOLNICTWA SPECJALNEGO

Z inicjatywy Sekcji Szkolnictwa Specjalnego odbyło się spotkanie przedstawicieli ZNP z placówek resocjalizacji podległych Ministerstwu Sprawiedliwości. W spotkaniu uczestniczyli przedstawiciele Ministerstwa Sprawiedliwości oraz kierownictwa ZG ZNP. Przebieg dyskusji wykazał możliwość rozwoju działalności ZNP w tym środowisku.

W KRAJOWEJ RADZIE POSTĘPU PEDAGOGICZNEGO

12 bm. odbyło się posiedzenie Prezydium Krajowej Rady Postępu Pedagogicznego, z udziałem prof. dr. Wincentego Okonia, wiceministra Czesława Banacha oraz wiceprzewodniczących KRPP: Mariana Balcerka i Jana Zaciurę. Zebrani zaakceptowali program działania KRPP i powołali zespoły problemowe. Zatwierdzono też wydawanie biuletynu informacyjnego oraz uznano za konieczne zorganizowanie ogólnokrajowej narady z sekretarzami i przewodniczącymi Wojewódzkich Rad Postępu Pedagogicznego.

PREZYDIUM KOLEGIUM MOiW

Na posiedzeniu Kolegium MOiW, które odbyło się 12 bm., dokonano oceny trzyletniego wdrażania nowego systemu zaopatrzenia uczniów szkół podstawowych i przedszkoli w podręczniki, a także założeń programu zapobiegania sieroctwu społecznemu. Zebrani zapoznali się też z informacją o wynikach kontroli przebiegu remontów szkół i placówek w bieżącym roku. Z krytyczną oceną spotkał się zwłaszcza system zaopatrywania w podręczniki. Podjęto w związku z tym decyzję jego zmodyfikowania w następnym roku szkolnym. Wziaszkowe stanowisko w omawianych sprawach zaprezentował prezes Kazimierz Piłat.

EKSPERYMENTY PEDAGOGICZNE

W ZG ZNP odbyła się 12 bm. dyskusja nad teraźniejszością i przyszłością eksperymentów pedagogicznych. Uczestniczyli w niej przedstawiciele szkół poszukujących lepszych osiągnięć w organizacji procesu dydaktyczno-wychowawczego oraz członkowie Komisji Pedagogicznej ZG ZNP. Dyskusję prowadzili kol. dr Danuta Nakonieczna z IBM oraz Lidia Brzezińska — kierownik Wydziału Pedagogicznego ZG ZNP. Uczestniczący w obradach wiceprezes ZG ZNP Jan Zaciura wyraził, w imieniu Związku, duże zainteresowanie działalnością eksperymentalną i nowatorską oraz obiecał wsparcie dla tej inicjatywy.

WYMIANA ZAGRANICZNA

Na zaproszenie ZG ZNP przebywała w Polsce od 10 do 15 grudnia 2-osobowa delegacja ZG Związku Zawodowego Nauczycieli Bułgarskich. Goście odbyli rozmowy w ZG ZNP, spotkali się z Zarządem Oddziału Warszawa-Ochota, zwiedzili Szkołę Podstawową nr 97. Delegacja bułgarska odwiedziła także Łódź, gdzie zapoznała się z pracą tamtejszego Zarządu Okręgu, zwiedziła Dom Kultury Nauczyciela oraz Pałac Młodzieży. Na zakończenie pobytu podpisano porozumienie o współpracy między ZG ZNP i ZG ZNB.

W tym samym czasie delegacja ZG ZNP (kol. Michał Langowski, Krzysztof Wasielewski) przebywała z jednodniową wizytą w Pradze, gdzie zostało też podpisane porozumienie o współpracy z Zarządem Głównym Związku Nauczycieli Czechosłowackich.

SZKOLENIE AKTYWU ZNP

W Lubiechowie k. Głogowa odbyło się 15 bm. szkolenie aktywów ZNP woj. legnickiego z udziałem wiceprezesa ZG ZNP Michała Langowskiego. W tym samym dniu z aktywem związkowym Torunia spotkał się sekretarz ZG ZNP, Zbigniew Cierpka. Z kolei 14 bm. odbyło się w siedzibie ZG ZNP spotkanie z aktywem ZNP Białegostoku. Uczestniczył w nim wiceprezes Jan Zaciura.

PLENARNE OBRADY KRN

14 i 15 bm. odbyło się plenarne posiedzenie KRN ZNP. Omawiano problemy pracy Związku w uczelniach i instytucjach, zamierzenia nowelizacji ustawy o szkołach wyższych, sprawozdanie z pracy zespołów i komisji oraz z uczestnictwa delegacji ZNP w Zgromadzeniu ZZ w Bytomiu i utworzeniu OPZZ. W przedmiotowych sprawach podjęto stosowne uchwały, które zostaną zaprezentowane w terminie późniejszym.

PROFIL „NAUCZANIA POCZĄTKOWEGO”

W Kielcach odbyło się 15 bm. posiedzenie rady redakcyjnej czasopisma „Nauczanie Początkowe”. Członkowie rady redakcyjnej oraz zespołu konsultantów naukowych wyrazili pogląd, iż konieczne jest wydawanie materiałów metodycznych oraz zwiększenie refleksji naukowej nad realizacyjnymi celami nauczania i wychowania. A także prezentowanie na łamach czasopisma osiągnięć nowatorskich. W czasie posiedzenia, w imieniu Prezydium ZG ZNP, wiceprezes Jan Zaciura wręczył członkom rady redakcyjnej nominacje.

ZNP O PROJEKTACH DOKUMENTÓW

W ostatnim tygodniu ZG ZNP opiniował projekty następujących aktów prawnych: — projekt zarządzania MOiW w sprawie organizacji i zasad działania świetlic dla dzieci i młodzieży szkolnej; — projekt zarządzania MOiW oraz MZiOs w sprawie organizacji wychowania i kształcenia dzieci i młodzieży w zakładach leczniczo-wychowawczych.

SPOTKANIE W ZG ZNP

Działalność związkową z Krakowa — Nowej Huty złożył 15 bm. wizytę w siedzibie ZG ZNP. W czasie spotkania z prezesem Kazimierzem Piłatem dyskutowano o najważniejszych problemach pracy związkowej, funkcjonowania oświaty oraz o warunkach życia i pracy nauczycieli i pozostałych pracowników.

W natoku pierwszostronnicowych wiadomości krajowych i zagranicznych w sprawach mających podstawowe znaczenie dla naszego dziś i jutra, być może niejedną z nas przeoczył zamieszczoną na dalszych stronach gazet, skromną rozmiarami, informację PAP o unieważnieniu czerwonych wyborów do rad narodowych w jednej z gmin województwa lubelskiego. A jest to informacja warta, z różnych względów, zauważenia.

Przypomnijmy ją pokrótce. Oto Józef Wroński z Boniewa, gmina Fajslawice, będący zresztą sam członkiem obwodowej z komisji wyborczej, korzystając z uprawnień, jakie daje ordynacja, oprostował ważność wyborów na swoim terenie. Przewód sądowy wykazał słuszność zarzutów: udowodniono, iż w tym obwodzie złamane zostały przepisy nakazujące osobiste głosowanie oraz nie zezwalające na sporządzanie powtórnego protokołu z głosowania poza lokalem wyborczym. W konkluzji Sąd Najwyższy z 28 listopada br. unieważnił wybory w tym obwodzie i nakazał, zgodnie z art. 93 ust. 2 ordynacji, rozpocząć nowe postępowanie wyborcze od głosowania (odbędzie się tylko akt głosowania przy tej samej komisji).

W uzasadnieniu sędzia przewodniczący podkreślił, że nie może być wyjątków od bezwzględnie obowiązujących zasady osobistego głosowania. A naruszyli ją sami członkowie komisji wyborczej i zezwalali na to innym osobom. I dlatego, choć ustalono tylko 7 takich przypadków, postawiło to pod znakiem zapytania wiarygodność wyników całego głosowania w tym obwodzie. Tak więc w Fajslawicach odbędzie się ponowne wybory.

W całym kraju w sumie 14 osób skorzystało z możliwości stworzonych przez, nie mające u nas precedensu, przepisy nowej ordynacji wyborczej, które zezwalały na zgłoszenie zastrzeżeń co do właściwego przebiegu wyborów. Po zbadaniu tych wszystkich spraw Sąd Najwyższy unieważnił wybory w dwóch przypadkach, w których wnoszący protest potrafili udowodnić swoje racje. Jednym z tych przypadków były Fajslawice właśnie.

Może nasuwać się pytanie, czemu wracam do tej sprawy. Wszak tegoroczne wybory do rad narodowych, to już pewien zamknięty etap, a przy tym owe dwa, w końcu incydentalne, przypadki, to jakby nie liczyć, w skali kraju margines. Sądzę jednak, że sprawa warta jest odnotowania i to z kilku powodów. Oto bowiem, praktyka dowiodła, że nowy przepis ordy-

DO PRACOWNIKÓW OŚWIATY I WYCHOWANIA!

Uznając za nader pożyteczną inicjatywę Rady Krajowej PRON w postaci Narodowego Czynu Pomocy Szkole — apelujemy do Koleżanek i Kolegów o aktywne włączenie się do jego realizacji.

Proponujemy — uznać realizację czynu jako podstawowe i pilne zadanie.

Niech edukacja młodego pokolenia stanie się płaszczyzną porozumienia narodowego i wspólnego działania na dziś i jutro.

Wzywamy do:

— dobrowolnego przepracowania dodatkowych godzin lub dni na rzecz swojej placówki oświatowej,

— unowocześniania i poprawy efektyw-

W SUKURS SZKOLE

Toruńskie — wyniki czynu społecznego w Dniu Edukacji Narodowej

W tym roku Rada Krajowa PRON zaapelowała, by Dzień Edukacji Narodowej stał się na całą dekadę dniem Ogólnonarodowego Czynu na rzecz oświaty. W niektórych regionach kraju wezwanie to spotkało się z bogatym odzewem. Oto tylko niektóre efekty społecznych inicjatyw woj. toruńskiego: w czasie towarzyskiego spotkania piłkarskiego między reprezentacjami lekarzy a dziennikarzy w Toruniu zorganizowano kwestę — 9 tys. zł wzbogaciło fundusz pomocy szkole; z inicjatywy Rady Osiedlowej PRON w osiedlu Kaszczorek zainstalowano w I LO 40 punktów świetlnych oraz wykonano bieżące prace konserwatorsko-remontowe; pracownicy Kombinat Budowlanego pracowali społecznie 13 października (w przeddzień święta oświaty) na budowach przedszkola i dwóch szkół podstawowych w Osiedlu Na Skarpie; pracownicy działu głównego mechanika toruńskiej Elany wykonali dla podopiecznego przedszkola w Radzynie Chełmskim urządzenie placu zabaw wartości 25 tys. zł; 79 pracowników Zakładów Graficznych w Grudziądzu przepracowało 549 godzin, zarabiając prawie 40 tys. zł — sumę tę przekazano na konto budowy szkół (cała załoga zobowiązała się przekazywać przez 10 lat co roku, 50 tys. zł z funduszu zakładowego na ten sam cel).

KRAJ

PODZWONNE DLA RÓWNIJSZYCH

nacji wyborczej nie stał się — a takie obawy wysuwano w trakcie dyskusji nad jej projektem — narzędziem w rękach pieniaczy, narzędziem umożliwiających przeprowadzanie osobistych rozgrywek. Świadczy o tym liczba wniesionych przez obywateli zastrzeżeń. Z drugiej strony przepis ten nie został potraktowany jako ozdoba stylistyczna, martwa litera, lecz jako autentyczna możliwość wpływania szeregowego obywatela na prawidłowy przebieg wyborów.

I jeszcze jedno. Na unieważnienie wyborów w dwóch niewielkich miejscowościach należy, tak sądzę spojrzeć nie jak na, budzącą emocje, sensację, lecz jak na... normalność. Normalność, w której wszystkie przejawy omiajnia przepisów są eliminowane, w której każdy obywatel ma szansę przebić się ze swoją racją. Normalność, w której respektowane są w praktyce tak niezbywalne wartości jak praworządność i demokracja, równość wszystkich wobec prawa.

Sądzę, że tak właśnie trzeba odczytywać także inne, pojawiające się co jakiś czas, informacje o różnego typu nieprawidłowościach, a czasem wręcz nadużyciach, wykrywanych w pracy organów administracji państwowej i innych instytucji.

Czy dużo jest tego rodzaju przypadków i jaka jest skala zjawiska? W rozmowie z dziennikarzem PAP, gen. bryg. Marian Ryba, główny inspektor kontroli w Urzędzie Rady Ministrów — ocenił, iż nie jest to zjawisko masowe. Poinformował, że np. w 1983 r. i I połowie 1984 r. Główna Inspekcja Terenowa wniosła o ukaranie 243 osób z kadry kierowniczej. Zaś Państwowa Inspekcja Handlowa wniosła w 1983 r. o ukaranie 581 osób na kierowniczych stanowiskach, spośród nich 33 osoby zostały zwolnione ze skutkiem natychmiastowym.

ności procesu dydaktyczno-wychowawczego i opiekuńczego i organizacji pracy,

— Inicjowania przedsięwzięć, które pozwolą uzyskać dodatkowe środki na rozwój oświaty.

Powołujemy społeczne komitety budowy i modernizacji istniejących obiektów oświatowych! Rodzące się w tej dziedzinie inicjatywy włączamy do realizacji lokalnych programów oświatowych! Nasze działania w tym zakresie zjednoczmy z pracami społeczności środowiska!

Wyrażamy głębokie przekonanie, że te wspólne przedsięwzięcia pozwolą w ciągu najbliższych dziesięciu lat — do 50-letniej rocznicy narodzin POLSKI LUDO-

Elbląskie — powołano Towarzystwo Socjopatologiczne

W wyniku trwających dwa lata starań, Rada Wojewódzka PRON doprowadziła do zarejestrowania Elbląskiego Towarzystwa Socjopatologicznego (pierwszy zjazd odbył się w końcu września). Towarzystwo powstało z inicjatywy grupy społeczników z Malborka i jako główny cel swego istnienia stawia walkę z różnymi przejawami patologii społecznej. Zakłada się, że jako zrzeszenie społeczników a jednocześnie fachowców, będzie ono spełniało funkcję koordynatora i konsultanta działań, podejmowanych na tym polu przez różne organizacje.

100 tysięcy zł od ZNP w Politechnice Łódzkiej

Rada ZNP w Politechnice Łódzkiej zadeklarowała wpłatę 100 000 zł, pochodzących z pieniędzy związkowych, na Fundusz Pomocy Szkole. Ponadto zobowiązała się również do zainteresowania swych członków działaniami w innych dziedzinach, zgodnych z programem pomocy szkolnej.

Czy uda się z biura zrobić szkołę?

Komitet Rodzicielski w Szkole Podstawowej nr 85 w Warszawie, a ściślej, „Trójka klasowa” klasy IIIb podjęła zobowiązanie, które zainteresowani powinni gorąco poprzeć. Otóż w części budynku szkolny przy ul. Narbutta 14, przed laty ulokowano „tymczasowo” biuro. „Tymczasowość” trwa do dziś, a obecnie uczy się w szkole nie, jak dawniej, 350 dzieci — lecz

Są to, oczywiście, tylko przykładowe dane. Osobiście, nie sądzę, jednak, by akurat teraz obficie niż kiedy indziej obrodzili nam wśród kadry kierowniczej ludzie będący na bakier z praworządnością. Po prostu tropi się ich konsekwentniej i nie utajnia się rezultatów tego tropienia. Ze wymiennie dla przykładu choćby głośną sprawę walbrzyską, toruńską, a świeżo — gdańską.

O tej toruńskiej wspominał na XVII Plenum KC PZPR, tow. Wojciech Jaruzelski, informując, iż: „w najbliższym czasie zbadać będą — niestety, wiarygodne, jak się wydaje — sygnały o procederze przydziału działek budowlanych i ogrodowych w pewnym wojewódzkim mieście”.

I rzeczywiście, w pierwszych dniach grudnia poinformowano opinię publiczną, iż w Toruniu przy rozdysponowywaniu tych działek naruszone zostały zasady sprawiedliwości społecznej oraz przepisy ustawowe, a w niektórych przypadkach doszło do wykorzystania stanowiska dla osiągnięcia osobistych korzyści. Szczegóły znamy. Posypały się kary dyscyplinarne i partyjne, opróżniło się kilka stołków.

Niektórym zapachniało sensacją. Pewnie także dlatego, że przez zbyt długie lata jawna ocena krytyczna nie przekraczała szczebla wójt, więc jeszcze nie przywykliśmy do publicznego rozliczania winnych, bez względu na piastowaną przez nich funkcję, w tym i tych prominentach. A przecież to jest właśnie normalność. Normalność owocująca licznymi pożytkami. O charakterze pragmatycznym i moralnym. Przed ludźmi sprawującymi władzę, jawi się to jako memento, ostrzeżenie przed pokusą jej nadużywania. Ma więc ogromne znaczenie profilaktyczne w eliminowaniu patologicznych zjawisk. Społeczeństwu zaś dostarcza niezbitych dowodów, że sprawiedliwość jest nie tylko teoretyczną kategorią, lecz staje się praktyką. Sprawiedliwość przejawiająca się w wyciąganiu konsekwencji wobec naruszających prawo i w stosowaniu wobec wszystkich — bez względu na zajmowane stanowisko — jednakowej miarki, bez podziału na równych i równiejszych.

Ze w życiu jeszcze różnie bywa i że przed nami długa droga nim takie myślenie i taka praktyka staną się powszechne, wiemy o tym wszyscy. Dlatego tym bardziej krzepią wszystkie sygnały zaświadczające, że w tym właśnie kierunku zmierzamy. (DCh).

WEJ — zapewnić najmłodszemu pokoleniu godziwe warunki wychowania, opieki i nauki.

W Jest to nasz niezbywalny wspólny, narodowy, obywatelski i związkowy obowiązek.

Z 80-letniej tradycji Związku Nauczycielstwa Polskiego wynika, że sprawy wychowania i oświaty były zawsze głównym celem działania naszego Związku.

Sądzimy, że i dzisiaj nie zabraknie nam wszystkim chęci i sił do sprostania postawionemu zadaniu, podobnie jak to już wielokrotnie bywało w przeszłości.

Zarząd Okręgu ZNP i prezisi zarządów oddziałów woj. bielskiego

600. Ciasnota panuje więc niesamowita a biura ruszyć nie sposób. Teraz w ramach Narodowego Czynu Pomocy Szkole rodzice postanowili: musi się nam udać odzyskanie tego, co się szkole należy! Wystosowali więc w końcu października pisma do zainteresowanych i czekają na odzew. Kto im pomoże?

Informacje:

Dzielnicy Zespół Ekonomiczno-Administracyjny Szkół w Krakowie — Nowej Hucie, za pośrednictwem RK PRON wnosi następującą sprawę pisząc: „Jeśli nie otrzymamy większych niż dotychczas przydziałów oświetlenia, dojdzie do zawieszenia nauki w szkołach uczących na drugiej i trzeciej zmianie. Dzieci niszczą wzrok, w klasach świeci się co druga żarówka lub świetlówka. „Elmet” otrzymuje ich zbyt mało, aby pokryć nasze potrzeby. „San-Epid” mierzy ilość luksów, zaleca uzupełnienie braków i grozi sankcjami za ich nie wykonanie.

Reasumując, prosimy: patronujcie jak dotąd bardzo potrzebnej akcji pomocy szkole, ale nie tylko w budowie nowych obiektów, ale i zaopatrzenia szkolnictwa w ogóle. Nowe obiekty bez właściwego wyposażenia i te już istniejące, nieodpowiednio zaopatrywane i konserwowane, pogłębiają tylko istniejący zły stan szkolnictwa”.

Należy przypuszczać, że podobna sytuacja panuje nie tylko w Krakowie. KTO WIĘC WYPRODUKUJE POTRZEBNE SZKOŁOM ŻARÓWKI I ŚWIETŁÓWKI? (Kal.)



LEKCJA O POLSCE



Fot. W. Sumiński

Sala konferencyjna w NK ZSL wyglądała tym razem niezwykle. Wokół ustawionych w podkowę stołów nie zasiadli — jak zazwyczaj — działacze chłopscy lub eksperci z różnych, związanych z rolnictwem dziedzin, lecz dzieci. To prezes NK ZSL, wicepremier Roman Malinowski podejmował niecodziennych gości: 30 uczniów VII i VIII klasy ze Szkoły Podstawowej w Woli Wapowskiej, gmina Kruszewica. Przylecieli porannym samolotem z Gdańska i wprost z lotniska zameldowali się w siedzibie naczelnych władz stronnictwa. Ta wizyta była głównym punktem programu specjalnej wycieczki, a także konsekwencją i uwiaryściwieniem wielu działań szkolnej społeczności, podejmowanych w ostatnich dwóch latach.

Zaczęło się chyba od tego, że samorząd uczniowski zwrócił uwagę, iż imiona zasłużonych osób noszą dziś głównie szkoły miejskie — wiejskie są przeważnie bezimiennie. A oni chcą, by ich szkoła miała patrona. Zainteresowali więc sprawą radę pedagogiczną, która również była „za”, ale uświadomiła młodzieży, że takie przybranie imienia jest zobowiązujące, pociąga za sobą wiele prac i starań, oraz... kosztów. No bo trzeba kupić np. sztandar.

Młodzież podtrzymała swój wniosek. I zaczęło się wybieranie patrona: czytano, rozmawiano ze starszymi, dyskutowano w klasach. W rezultacie w ogólnoszkolnym plebiscycie przyniatająca większość głosów zwyciężył Wincenty Witos, jeden z najwybitniejszych działaczy polskiego ruchu ludowego.

Cały ubiegły rok szkolny upłynął na przygotowaniach. Uczestniczyli w nich nie tylko uczniowie i ciało pedagogiczne — wciągnięto do pracy komitet rodzicielski, aktyw. Wreszcie 10 czerwca odbyła się niezapomniana uroczystość: nadanie Szkole w Woli Wapowskiej imienia Wincentego Witosa; był sztandar, podniosły nastrój...

Okres przygotowań do otrzymania przez szkołę patrona zaowocował także nowymi, serdecznymi kontaktami grona pedagogicznego i uczniów z działaczami ruchu ludowego. Wśród nich znajduje się p. Tyloch, prezes gminnego komitetu ZSL w Kruszewicy. W jego osobie oświatowe problemy Woli Wapowskiej znalazły gorącego orędownika. A problemów tych jest немало i nie są one łatwe do rozwiązania.

Bo proszę: szkoła składa się z 6 izb lekcyjnych, a uczy się w niej prawie 200 dzieci. Nie tylko więc lekcje muszą odbywać się na dwie zmiany, ale część programu praktycznie nie jest realizowana; o wygospodarowaniu kąta na pracownię techniczną nie ma bowiem mowy, o wychowaniu fizycznym lepiej nie wspominać. I jeszcze dożywianie... nawet mleka dla dzieciaków nie ma gdzie zagrzać, więc kupują je (dowożone w termosach) w gospodarstwie mleczarskim. O kosztach lepiej nie wspominać; litr kosztuje szkołę prawie 30 zł! A dojazd dzieci... Jeżdżą uczniowie rozklekotaną, zimną „bonanzą”, a szkoła płaci za te spartańskie warunki tyle, że własny autokar kosztowałby połowę. No i mieszkania dla nauczycieli (to znaczy ich rozpaczliwy brak), szkolna biblioteka (bezdonna i skromnie zaopatrzona). Sumując — w ogóle fatalne warunki pracy. Wszystkie te niedostatki postanowiono wziąć na warsztat i zlikwidować. Plan, krótko mówiąc, jest taki:

W najbliższych czterech latach zostanie przeprowadzony kapitalny remont szkoły, połączony z rozbudową. W rezultacie budynek powiększy się o 4 klasy lekcyjne, pracownie do zajęć technicznych, salę gimnastyczną i zaplecze gospodarczo-kuchenne. Stworzy to szansę lepszego zorganizowania nauki i zajęć pozalekcyjnych, pozwoli zlikwidować dwumianowość i zapewnić dzieciom normalne posiłki w szkole, umożliwi działania zarówno kół zainteresowań jak również sekcji. Nie bez znaczenia jest także poprawienie warunków pracy kadry dydaktycznej (w czasie spotkania z prezesem Malinowskim, gdy goście opowiadali o swojej szkole, jeden z uczniów wtrącił: nasz pokój nauczycielski jest bardzo mały). Na dalszą — ale nie tak zupełnie daleką metę, myśli się o własnym autokarze i rozwiązaniu kwestii mieszkaniowej.

Wszystko to nie są tylko pobożne życzenia i projekty sporządzone ad hoc, na fali ogólnego zainteresowania bazą materialną oświaty. Szkoła w Woli Wapowskiej ma już za sobą dość gruntowną modernizację, przeprowadzoną nie tak dawno, w wyniku której dorobiła się m.in. centralnego ogrzewania. Obecnie plany są na etapie kończenia dokumentacji przebudowy oraz pierwszych zakupów płyt, z których zostanie wzniesione nowe skrzydło budynku.

Plany — planami, ale skąd pieniądze? Tu podstawówka w Woli Wapowskiej potrafiła z pomocą komitetu rodzicielskiego i aktywu społecznego, w którym rej wodzi właśnie pan Tyloch, przełamać swoje potrzeby na wszystkich frontach, do wojewódzkiego włącznie. Zostali „wstawieni” do planu remontowego, mają obiecane pieniądze z nadwyżek budżetowych i zobowiązania społecznego udziału mieszkańców. Przydałoby się ciepłe zainteresowanie władz centralnych, poparcie w sprawie autokaru... I tu dochodzimy do wspomnianej na wstępie wizyty.

W zabiegach o rozbudowę szkoły żywo uczestniczyli również uczniowie, spotykali się z przedstawicielami władzy, działaczami partii politycznych, społecznych. Nie bez znaczenia jest także imię patrona szkoły, związane z nim kontakty z ZSL. Gdy więc po wakacjach postanowiono zorganizować dla najstarszych klas wycieczkę do Warszawy, samorząd szkoły pod wodzą Eli Jasińskiej zaproponował: odwiedźmy NK ZSL. Uczniowie napisali list do wicepremiera Malinowskiego z prośbą o „choćby 15-minutowe spotkanie”, bo chcieliby poznać się z działaniem centrali partii chłopskiej, dowiedzieć się, jak pracuje wicepremier. Dyrektor szkoły, Bolesław Lewandowski, w odrębnym piśmie poparł prośbę swych wychowanków, zapewniając, że inicjatywa jest samorządowa. W odpowiedzi otrzymali zaproszenie do złożenia wizyty.

Program wyjazdu do Warszawy przygotowano starannie. Pojechali przez Gdańsk, by statem samolotem (dla wszystkich był to pierwszy w życiu lot!) przenieść się do Warszawy. Potem wizyta w NK ZSL, odwiedzenie Grobu Nieznanego Żołnierza, obejrzenie Zamku Królewskiego i Starówki. Opiekę nad gromadką idealnie zresztą grzecznych podróżników sprawowali — oprócz dyrektora — także nauczycielka, pani Irena Stefańska i przedstawicielka komitetu rodzicielskiego, pani Marianna Buziła (matka czworga dzieci, z których najstarsze już szkołę skończyło, a najmłodsze jeszcze do niej nie chodzi — z wycieczką przyjechało natomiast średnie — uczennica VII klasy, Anita).

Rzeczywistość przerosła oczekiwania. Liczyli na krótkie spotkanie, tymczasem trwało ono kilka godzin. Wicepremier ob-

szernie opowiadał o tradycjach ruchu ludowego, udziale ZSL w kierowaniu sprawami państwa, działaniu sztabu chłopskiej partii i swym życiu prywatnym. Tu anegdota o dzieciach; gdy dziś dorosły syn Romana Malinowskiego miał 6 lat, wiele mówiło się o tzw. urodzonych w niedzielę. Zaintrygowany tym określeniem małe dopytywał się, czy on też jest taki. Rodzice zapewnili go, że skądże. Któregoś dnia jednak chłopczyk na niedzielnym spacerze zachowywał się niezdolnie, i zdenerwowany tata powiedział w końcu: ty się jednak chyba urodziłeś w niedzielę! Maluch na to krytycznie zmierzył wzrokiem sylwetkę ojca i odpalił: a ty w tłusty czwartek!

W czasie spotkania zapoznano wicepremiera z historią i planami rozbudowy szkoły, a także poproszono o poparcie dla tych ostatnich. Otrzymali obietnicę, wsparcia deklaracją wiceministra oświaty Mariana Gały; gospodarz spotkania otrzymał obraz przedstawiający szkołę — zadany, ukwiecony, choć mały budynek. Okazało się (co „wysypa” jeden z uczniów), że malunek nie jest dziełem dzieci — oraz deklarację, że część pieniędzy zarobionych jesienią przy wykopkach młodzież przeznaczy na budowę Mauzoleum Martyrologii Wsi Polskiej w Michniowie na Kielecczyźnie.

Ten gest młodzieży wywołał obszerny temat rozmowy o latach walki. Wicepremier zobowiązał się, że złoży szkole wizytę, przywoząc ze sobą jednego z najbardziej znanych dowódców oddziałów Batalionów Chłopskich na Kielecczyźnie „Oskę”.

Na ręce Eli Jasińskiej gospodarz przekazał szkole podarunki: wydawnictwa o Wincentym Witosie, książki do biblioteki szkolnej i kryształową paterę, upamiętniającą 90-lecie ruchu ludowego. Wszyscy uczestnicy spotkania dostali ponadto w prezencie książki. Po spotkaniu obiegali z nimi, prosząc o autograf, redaktora naczelnego „Piomyczka”, poetę Tadeusza Chudego.

Gdy opuszczali gościnny gmach NK ZSL, zaczynał zapadać zmrok. Choć prawie całodzienna, była to najbardziej interesująca lekcja wiedzy o Polsce. I jaka owocna!

MARIA KALIŃSKA

OPINIE

MANIPULACJA

Uniesione w górę drewniane krzyże i dłonie wyciągnięte w geście symbolizującym literę „V”. Chórny śpiew nastolatków, wśród których rej wodzi niewiele od nich starszy ksiądz, chciałoby się raczej rzec: chłopiec z gitarą, pełen werwy, zadowolony, uśmiechnięty. Misterium? Show? Niestety, nie.

Jesteśmy — za sprawą kamery TV — w Zespole Szkół Zawodowych we Włoszczowie, gdzie 3 grudnia młodzież zaangażowana została do wielodniowego strajku okupacyjnego. W imię jakich racji? 30 listopada miejscowy proboszcz pobłogosławił 60 krzyży, z których część — zgodnie z planem — znalazła się następnie w tej szkole właśnie. Tego samego dnia, na polecenie dyrektora placówki, krzyże zdjęto. Wszak ich miejsce jest w obiektach sakralnych, a nie w instytucji świeckiej, służącej przecież wszystkim uczniom niezależnie od światopoglądu czy wyznania. Rodzice zostali o tym fakcie powiadomieni. Zajęcia odbywały się normalnie. Ale oto 3 grudnia po południu, kiedy do szkoły przyszli dwaj księża z miejscowej parafii, młodzież uległa agitacji. Dodajmy: agitacji prowadzonej od dłuższego czasu. Przez cały bowiem listopad przygotowywano te akcje; księża prowadzili z młodzieżą rozmowy na plebani i w internecie.

Jest połowa grudnia. Młodzież nie wychodzi z budynku od prawie dwóch ty-

godni. Żyje — jak mówią z troską wychowawcy — w warunkach anty-sanitarnych. Lekarze pogotowia już drugiego dnia musieli udzielać pomocy uczniom, które zastali. Do budynku nie mają dostępu ani nauczyciele, ani rodzice. Tylko księża i ja-

UCHWAŁA

Zebrani na spotkaniu 13 grudnia 1984 r. przedstawiciele rad zakładowych Związku Nauczycielstwa Polskiego w placówkach Polskiej Akademii Nauk, w obliczu przypadek zagrożenia świeckości szkoły w Polsce, oświadczają publicznie:

zgodnie z 80-letnią tradycją walki Związku Nauczycielstwa Polskiego o tolerancyjny kształt kultury polskiej, uznajemy za niezbędne raz jeszcze podkreślić, że polska szkoła powinna być świecka.

KRAJOWA KOMISJA PRACOWNIKÓW
POLSKIEJ AKADEMII NAUK

cyś niezidentyfikowani ludzie spoza miasta. Kamera ukazuje widniejące w oknach napisy: „Tylko z krzyżem Polska jest Polska”, ukazuje księdza-gitarzystę, kiedy intonuje wciąż nowe pieśni i kiedy reporterowi, chcącemu wysłuchać argumentów młodych ludzi, powtarza niezmiennie: „młodzież nie udziela wywiadów”.

„Tylko z krzyżem Polska jest Polska”... Powiało średniowieczem.

Ta audycja telewizyjna — nadana 14 grudnia — musiała wstrząsnąć każdym

bez względu na wyznawany światopogląd, każdym, komu bliskie są tak niezwykłe wartości jak szacunek dla odmiennych przekonań, wolność sumienia, praworządność.

Oto w kraju, w którym w pełni respektowane są wszystkie prawa wierzących do kultuwowania praktyk religijnych, w którym, mimo dotkliwych niedostatków szpitali, żłobków, przedszkoli i szkół, buduje się tak dużo świątyń — dochodzi do działań niewybaczalnych. Manipulowania nastolatkami, konfliktowania — pod pozorem obrony wiary — społeczeństwa, antagonizowania dzieci i rodziców, uczniów i nauczycieli. A czynią to wychowawcy w sutannach, doprowadzając do stanu, w którym nad rozsądkiem biorą górę emocje, zaciętrzewienie, nietolerancja, wręcz fanatyzm.

Ze młodzieży, nieznówoważony wika-ry robi nastolatkom wodę z mózgu, to jeszcze można sobie jakoś wytłumaczyć. Ale przecież ten ksiądz ma swoich kościelnych zwierzchników. Dlaczego pozwalają mu na tę destrukcyjną, powodującą niepowetowane szkody wychowawczą, działalność? Dlaczego milczą?

Sądzą, że jest to sytuacja, w której milczeć nie wolno nikomu, kto czuje się odpowiedzialny za przyszłość Polski. Dlatego brakuje mi w tej jakże drażliwej sprawie głosu przedstawicieli katolików świeckich, także pełniących eksponowane funkcje w Patriotycznym Ruchu Odrodzenia Narodowego. W takich sprawach milczeć nie wolno.

I dlatego dobrze, że emitowano tę audycję. Dramat rodziców, dramat nauczycieli, a przede wszystkim dramat manipulowanych — rozdartych wewnętrznie — uczniów, jest najlepszym argumentem za słusnością zasady świeckości wszystkich placówek użyteczności publicznej, w tym także, a może przede wszystkim, szkoły, której niezbywalnym obowiązkiem jest kształtowanie poszanowania dla odmiennych poglądów, wpajanie abc tolerancji, wychowywanie w przeświadczeniu, że Polska jest ojczyzną wszystkich Polaków.

Czy nam to się zawsze udaje? Czy potrafimy uodpornić młodzież na próby nieodpowiedzialnej manipulacji? To już odrębny temat do rozważań.

DANUTA CHRZCZONOWICZ

Z ostatniej chwili. Już po oddaniu tego numeru do druku dowiadujemy się, że 16 bm. w godzinach rannych na teren budynku Zespołu Szkół Zawodowych we Włoszczowej przybył ksiądz Mieczysław Jaworski — biskup polski Diecezji Kieleckiej w towarzystwie kilku księży i odbył rozmowę z grupą okupujących. W rezultacie młodzież opuściła budynek szkolny i udała się do swych domów.

Obecnie trwają przygotowania do wznowienia zajęć szkolnych.

KRAJOBRAZ PRZED BITWĄ

Rzeczywiście, poprawa warunków pracy oświatowej w w Szczecińskim sprawu na-
der pilna. Zaległości inwestycyjne z lat

Również na oświacie spoczywają ob-
wiązki, na przykład gromadzenie środków

postadnia w swojej miejscowości nowo-
czekiem, dobrze wyposażonej szkoły, która
nie tylko przyciągałaby świetnych pedago-
gów, lecz także pełniłaby funkcję ośrod-
ka kulturalno-społecznego (jak dzwierz-
bywało). Wiele instytucji i przedsiębiorstw

MILIARDY NIE LEŻĄ NA DRODZE

**HARMONOGRAM JEST,
ALE CZY ŻELAZNY?**

4 GROS NAUCZYCIELSKI

Również na oświacie spoczywają obowiązki, na przykład gromadzenie środków

ZWIĄZEK W MOIM ŻYCIU

Łączna suma nagród pieniężnych wynosi 60 tysięcy złotych.
A WIĘC CZEKAMY DO KOŃCA MARCA. NA KOPERTACH DOPIŚCZCIE HASŁO: „ZWIĄZEK W MOIM ŻYCIU”.

GŁOS NAUCZYCIELSKI 5

WSPÓLNIE Z LUDŹMI



Rozmawiamy ze ZBIGNIEWEM CIERPKĄ
— sekretarzem Zarządu Głównego ZNP
wiceprzewodniczącym OPZZ

— Szanowny Kolego. Jeden z Czytelników zadał nam w liście pytanie, które pozwolę sobie streścić: Jak to się stało — pisał — że Kolega został z ramienia ZNP wiceprzewodniczącym Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych?

— Jak doszło do tego, że zostałem wiceprzewodniczącym OPZZ?... Nic w tym tajemniczego. Funkcję sekretarza Zarządu Głównego ZNP objąłem 1 listopada br. W tym też okresie wiadome już było, że w Bytomiu, w hali sportowej kopalni „Szombierki” odbędzie się ogólnopolskie spotkanie przedstawicieli związków zawodowych, na którym podjęte zostaną ważne decyzje w sprawie dalszego rozwoju ruchu zawodowego w Polsce. Związek Nauczycielstwa Polskiego na swoim październikowym plenum podjął decyzję — przy trzech wstrzymujących — o uczestnictwie w ogólnopolskim spotkaniu w Bytomiu, popart również tezy ideowo-programowe Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych oraz opowiedział się za uczestnictwem w ogólnopolskim porozumieniu. Równocześnie plenum jednomyślnie odrzuciło ideę o przystąpieniu do jakiegś ponadzwiązkowej struktury o charakterze władczym dla ZNP, bądź innych branżowych związków zawodowych w Polsce. „Głos” pisał o tych problemach bardzo gruntownie w poprzednich swoich numerach, a w 50 numerze pisma opublikował również wystąpienie prezesa K. Piłata wygłoszone w Bytomiu, w którym nasze stanowisko zostało przedstawione tak, jak to na plenum, a więc wspólnie ustaliliśmy.

Wracając jednak do pytania Czytelnika... Zastanawialiśmy się wspólnie, kogo wytypować do pracy w przyszłym OPZZ. Padły różne kandydatury: w tym prezesa i wiceprezesa. Stwierdziliśmy ostatecznie, że nasi szefowie nie powinni jednak kandydować do OPZZ. Po prostu, już w tej chwili są dosłownie zawałeni pracą, mają wiele obowiązków i dodatkowe funkcje mogłyby ich wyłączyć ze spraw bie-

żących w ZNP. Więc padła moja kandydatura. Zostałem zaakceptowany również przez tych przedstawicieli naszego Związku, którzy uczestniczyli w spotkaniu bytomskim.

Co dalej? W drugim dniu obrad w hali „Szombierek”, po wyborach przewodniczącego OPZZ, przystąpiono do wyborów wiceprzewodniczących. Kol. Alfred Miodowicz — już jako przewodniczący OPZZ — zgłosił 7 kandydatur na wiceprzewodniczących. O ósmą kandydaturę zwrócił się do prezesa K. Piłata, który zaproponował i rekomendował moją osobę. Następnie sala zgłaszała dodatkowe kandydatury. Ostatecznie na liście pozostało 15 osób. Wybrać należało ośmiu spośród nich. Przeszedłem na czwartej pozycji, otrzymując 510 głosów na 864 ważnych. Tak więc zostałem jednym z wiceprzewodniczących OPZZ.

— Dziękuję za tak szczegółową odpowiedź. Ten sam Czytelnik ma jednak dalsze problemy. Między innymi twierdzi, że OPZZ jest strukturą władczą, stanowiącą w stosunku do innych związków zawodowych i federacji związkowych, w tym i do ZNP. Czy jest to zgodne z prawdą?

— Nie. OPZZ nie narusza samodzielności oraz zasad statutowych organizacji członkowskich, nie reprezentuje ich zawodowych i branżowych interesów. Nie jest też żadną władzą w stosunku do organizacji członkowskich. W tym względzie nie ma wątpliwości i nie będzie. Nie mamy ambicji władczych wobec samorządnych, niezależnych związków zawodowych i federacji związkowych. Pragniemy natomiast wzmocnić działania związków zawodowych, działać wspólnie na rzecz milionów ludzi pracy, dla ich dobra i pomyślności. Chcemy być, jako OPZZ, instrumentem w rękach organizacji zakładowych. Nasz program nigdy nie będzie w konflikcie z programami ogniw związkowych w zakładach pracy. Rzecz jasna, będziemy się spotykać z przedstawicielami rządu, administracji państwowej, szefami resortów i central-

nych instytucji, z tymi wszystkimi, którzy decydują bądź współdecydują o rozdziale środków finansowych na różne ważne cele, którzy mają wpływ na rozdział sum z budżetu państwa po to, aby ten nasz wspólny budżet dzielić jak najsprawiedliwiej. To będzie nasza ważna rola. Za tę działalność będziemy oceniani przez 5 mln członków związków zawodowych w Polsce, a myślę, że i przez tych, którzy do związków nie należą. Zresztą, takie rozmowy już się odbywają: spotkaliśmy się na przykład z I sekretarzem KC PZPR i premierem, generałem armii — Wojciechem Jaruzelskim. Na temat CPR dyskutowaliśmy z wicepremierem M. Gorywodą. Choć były to rozmowy wstępne, to były to zarazem rozmowy mocne, konkretne, związkowe.

— Oczywiście, przyjmuję tę argumentację. Ale człowiek jest łasy na zaszczyty, biurka i wysokie etaty. Czy z czasem OPZZ nie przekształci się w byłą CRZZ...

— Nie mamy po prostu takich ambicji. Wszyscy w OPZZ jesteśmy działaczami społecznymi. Ja osobiście mam etat w swoim ZNP i nie marzę o stołku w OPZZ. Zgodziłem się na ten swój wybór, bo pragnę — jak tylko będę potrafił najlepiej — pracować na rzecz całego ruchu związkowego, na rzecz wszystkich ludzi pracy, w tym wszystkich nauczycieli i pracowników oświaty. OPZZ — CRZZ: pewne podobieństwo kryje się tylko w tym skrócie. Ważny jest jednak program OPZZ, skrajnie się różniący od założeń i idei byłej CRZZ, różne są style i metody działania. Zresztą ludzie pracy będą nas oceniać na co dzień. I wy, dziennikarze, macie w tej ocenie pracy OPZZ ważną rolę do odegrania. Klasa robotnicza, ludzie pracy bardzo szybko i sprawnie potrafią sprowadzać na ziemię — szczególnie takich, którym snią się obłoki i gabinety wyłożone dywanami.

— Może teraz kilka słów osobistej refleksji zarówno ze spotkania bytomskiego jak i ze spotkań na najwyższym szczeblu.

— Spotkanie bytomskie miało dwa oblicza. Pierwszy dzień był niezwykle dramatyczny, pełen spieć i napięć. Scierały się poglądy i opinie. Sprawy formalne dominowały nad innymi treściami. Miałem nawet obawy, czy na tym spotkaniu zdoła się wypracować jakieś wspólne stanowisko. Dopiero pod koniec tego dnia, późnym wieczorem, atmosfera zaczęła uspokajać się i wymiana poglądów zaczęła się toczyć w sposób bardziej zorganizowany. Natomiast drugi dzień był już rzeczowy. Delegaci zdołali przegłosować kilka bardzo ważnych dokumentów, które zresztą „Głos” zamieścił w całości.

Pamiętam, spotkanie zakończyło się w niedzielę 24 listopada o godzinie 23.00. Zebraliśmy się wówczas — my, wybrani do władz OPZZ — przy stole prezydialnym, by umówić się na robocze spotkanie. Wyzaczyliśmy je sobie na czwartek w Warszawie. I w tym właśnie dniu dowiedziałem się, że mamy złożyć wizytę I sekretarzowi KC PZPR, premierowi, generałowi armii, Wojciechowi Jaruzelskiemu.

Zostaliśmy przyjęci w gmachu Komitetu Centralnego. Wciąż jestem pod wrażeniem tego roboczego spotkania, w czasie którego każdy z nas, związkowców, zabrał głos, by powiedzieć swoje zdanie o sprawach nurtujących miliony ludzi pracy w Polsce, o sprawach, którymi my, związkowcy, chcielibyśmy się zająć w pierwszej kolejności. Ja mówiłem o problemach oświaty i szkolnictwa, a szczególnie szkolnictwa zawodowego i przyzakładowego. W tej chwili mamy taką sytuację, że szkolnictwo przyzakładowe jest niezbyt lubiane przez zakłady pracy. Po prostu, brak ponoć zakładom pracy funduszy na szkolenie młodych kadr. Nie muszę chyba prze-

konywać, że jest to polityka krótkowzroczna, na dziś — a nie na jutro. Oczywiście, nasi koledzy podnosili inne problemy. Kolega Alfred Miodowicz podniósł między innymi problemy związane z przyspieszeniem rewaloryzacji rent i emerytur, a więc te kwestie, o których mówił prezes K. Piłat w Bytomiu. Od siebie dodam, że wszystko wskazuje na to, że ta rewaloryzacja nastąpi w roku przyszłym, a nie za dwa lata, jak to było planowane.

Mówiono sporo o cenach, o podwyżkach, czynszach, opłatach za przejazdy środkami komunikacji, o współpracy międzynarodowej i współdziałaniu z PRON, o potrzebie zwracania większej uwagi na ochronę środowiska człowieka. Około 5 proc. na ten cel z budżetu państwa, to stanowczo za mało. Przecież jeśli środowisko naturalne człowieka będzie w coraz gorszym stanie, to więcej trzeba nam będzie wydawać na ochronę zdrowia. Zajęliśmy się też kwestią dodatków rodzinnych, wcześniejszych sprawami bhp. Słowem, była to ponad 3-godzinna rozmowa, w moim przekonaniu, bardzo owocna dla obu stron. Co charakterystyczne, premier nie kwestionował naszych propozycji i postulatów, ustosunkował się do nich przychylnie, z całą odpowiedzialnością i uwagą.

W tym miejscu pragnę się podzielić pewną osobistą refleksją: po raz pierwszy uczestniczyłem w takim spotkaniu. Wprawdzie miałem możliwość wysłuchać premiera w czasie pamiętnego spotkania związkowców w Katowicach, kiedy to wystąpił ze wspaniałym przemówieniem, ale teraz byliśmy w jednym pomieszczeniu, blisko siebie... Uderzył mnie fakt dokładnej, wręcz szczegółowej znajomości problemów, o których mówił.

Po tym spotkaniu byliśmy przyjęci przez wicepremiera Gorywodę. Spotkanie było poświęcone Centralnemu Planowi Rocznemu. Powiem, że nie bardzo jeszcze tkwiłmy w szczegółach tego planu, ale dyskusja wokół wielu zagadnień była konkretna. Mnie osobiście nasunęła się po tym spotkaniu taka refleksja: czy rzeczywiście ten plan jest najlepszy? Czy rzeczywiście nie można go już zmienić? Czy przedstawiciele rządu muszą go tak bronić? Związkowe spojrzenie na taki plan musi być i będzie zawsze spojrzeniem w imieniu milionów pracujących. I takie spojrzenie jest niezbędne, bo jest to po prostu spojrzenie inne.

— Jaki jest podział, pracy w samym OPZZ? Czy będzie kongres związków zawodowych? Czy wzrastać będą — zdaniem Kolegi — szeregi związkowe, w tym i szeregi ZNP?

— Podział taki już istnieje. Mnie przypadły dwa zadania. Szefuję Komisji Oświaty, Wychowania, Kształcenia Kadr, odpowiadając też za pracę Centralnego Studium Związkowego, które — jak wiadomo — jest już powołane i pracuje od kilku nastu miesięcy. Gdy chodzi o kongres... Myślę, że za wcześnie o tym mówić. Sami związkowcy decydują, czy i kiedy taki kongres się ewentualnie odbędzie. Jest to kwestia na najbliższe lata. Czy wzrosną szeregi związków zawodowych? To zależy od pracy samych związków zawodowych, no i oczywiście, zależeć będzie od pracy OPZZ. Jeśli ludzie przekonają się, że nie rzucamy słów na wiatr, że realizować będziemy twarde i uparcie postulaty ludzi pracy, załóg pracowniczych — w tym i ustalenia podpisane w Gdańsku i Szczecinie — wtedy będą z nami, pójdą za nami. Osobiście jestem przekonany, że siły związków zawodowych — dziś już niemałe — będą systematycznie wzrastać. A jeśli chodzi o ZNP? Dziś jest już nas ponad 420 tysięcy i szeregi nasze wciąż wzrastają.

— Dziękuję bardzo za rozmowę.

ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

CZYTELNICY MAJĄ GŁOS

DZIEŃ SENIORA

20 listopada w Dniu Seniora spotkali się emerytowani nauczyciele i administracja szkolna na zjeździe zorganizowanym przez Inspektorat Oświaty i Zarząd Oddziału ZNP w Garwolinie.

Mimo kiepskiej pogody, 136 osób w różnym wieku przybyło do lokalu „Pod Gontami”, aby zobaczyć znajomych, podzielić się radościami i kłopotami. Oczekiwali od organizatorów dobrego, starannego przygotowania tej imprezy. I chyba nie zawiedli się.

Gości powitał zespół artystyczny nowo założonego Klubu Młodego Nauczyciela. Młodzi koledzy pomagali starszym mniej

sprawnym nauczycielom. Szczególnie serdecznie zaopiekowano się mającym 85 lat woźnym, który przepracował w szkole okrągłe 50 lat. Z zaproszeniem w ręku, ten stary pracownik przyjechał z odległej wioski, aby znaleźć się wśród tych, z którymi przeżywał całe niemal życie.

Inspektor oświaty i sekretarz KG PZPR udekorowali odznaczonych kolegów. Marian Jaworki za udział w tajnym nauczaniu oraz pracę społeczną otrzymał Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, Emilia Jonakowska i kol. Robakowska ze szkoły gminnej w Parysowie otrzymały Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Członkowie Klubu Młodego Nauczyciela wyrazili szacunek i podziw dla tych, którzy w okresie okupacji z narażeniem życia walczyli z wrogiem o polską szkołę i kształcenie polskiego dziecka. „Jesteście

Państwo dla nas, młodych nauczycieli, wzorem głębokiego patriotyzmu. To wasi uczniowie na zew Ojczyzny poszli w bój” — padły słowa przez mikrofon.

Deklamacje i śpiewy wzruszyły nauczycieli, pozwoliły na chwilę zadumy, wspomnienia. A potem popłynęły stare, sentymentalne, nagradzane gromkimi brawami, melodie z lat młodości.

Poczucie więzi między dawnymi, a młodymi laty wytworzyło zapewnienie młodych pedagogów, że wykorzystają w pracy wskazówki swoich wychowawców. Jeden z występujących młodych nauczycieli przypomniał napis z własnej klasy: „Gdzie słyszysz śpiew, tam idź, tam dobre serca mają. Żli ludzie, wierzą mi, ci nigdy nie śpiewają”.

I sekretarz KG PZPR, Marian Lipski, stwierdził, że wkład nauczycieli emerytów w budowę nowej rzeczywistości jest olbrzymi i to głównie powinno dać zadołowanie tym, którzy zawsze godnie reprezentowali polską szkołę.

Zjazd był udany — świadczyły o tym podziękowania składane na ręce przedstawicieli władz oświatowych, związkowych oraz wpisy do kroniki związkowej.

„Z wielką radością jechałam na to spotkanie z „przeszłością”. Spotkać tak wiele

młodych memu sercu osób, to wielka gratka. Nie zawiódłam się — za co dziękuję tym, którzy tę imprezę zorganizowali. Dziękuję za chwilę radości. Więcej takich imprez”.

„Impreza udała się — spotkania, serdeczności, gościnne przyjęcie w miłej atmosferze ZNP”.

„Wielką satysfakcję sprawiło mi już samo zaproszenie na spotkanie. Brakowało mi takowego. Czekałymi na nie. Spotkanie, zorganizowane wzorowo, dostarczyło wiele wzruszeń i radości. Nie spodziewałam się tak serdecznego przyjęcia ze strony naszych następców — młodej kadry. Serdeczne podziękowania dla organizatorów”.

W końcowej części Zjazdu — kol. Henryk Dankowski, prezes Krajowej Sekcji Emerytów i Rencistów ZG ZNP — odpowiadał na pytania nauczycieli. W miłej atmosferze, z planami częstszych spotkań, rozjechali się nauczyciele do domów, odprowadzani uśmiechami organizatorów, zadowolonych, że mogli przyczynić się do radości tych, którzy całe życie poświęcali szkole.

MARIA KOŁODZIEJCZYK

Garwolin

ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

ZWY- CZAJNIE CZY CU- DOWNIE?

Jeden z naszych wybitnych uczonych — humanistów na pytanie, jak wyobraża sobie wyjście z kryzysu — odpark:

— Widzę dwa takie wyjścia: jedno jest zwyczajne, a drugie cudowne. Zwyczajne nastąpi wtedy, gdy wszyscy aniołowie zejść z niebios na ziemię i zacząć za nas pracować. Natomiast cudowne zacznie się od tego dnia, kiedy wszyscy Polacy wezmą się do solidnej pracy.

Cóż — tej solidnej, rzetelnej, punktualnej, logicznie zorganizowanej pracy ciągle nam brakuje. I to wszędzie: w zakładzie pracy, biurze, jak też i w szkole. Wciąż wiele na ten temat się pisze i mówi. Jak to byłoby wspaniale, gdyby o pracy mniej dyskutować, a po prostu lepiej i wydajniej pracować.

Mówią o nas, że jesteśmy Improvizatorami, ciągle niezadowolonymi z siebie, że zawsze i wszędzie szukamy dziury w całym — nawet wtedy, kiedy tej przysłowiowej dziury nie widać. Przykładów można by znaleźć bez liku, choćby na naszej oświatowej ławce. Ileż to już razy wymyślano u nas problemy, rzeczy i sprawy wymyślone wcześniej, dobrze funkcjonujące, sprawdzone i przynoszące dobre efekty, lecz druzgotane czyjąś nagłą, krótkowzroczną decyzją, podejmowaną z dnia na dzień, bez żadnej konsultacji społecznej. Takie właśnie decyzje podejmowane zza biurka były i są, zawsze najniebezpieczniejsze. Tej tendencji trzeba się zdecydowanie przeciwstawić, co zresztą związki zawodowe już czynią. Niech znacznie obowiązują zasadą, że żelazna reguła, że nie poprawia się rzeczy dobrych, sprawdzonych, funkcjonujących sprawnie od lat. Nie dostrzegajmy zła tam, gdzie ono nie występuje, lecz utrwalajmy, wzmacniajmy to wszystko, co nam się sprawdza w praktyce. Reformujemy to wszystko, co rzeczywiście reformy wymagają.

Pisze Czytelnik: „Najbardziej denerwują mnie owe reformy, nakazy i zarządzenia, pisma, które przeczą — tak bywa — sobie nawzajem. Oto przykład: 17 kwietnia tego roku dyrektor Działu Emerytur i Rent oddziału ZUS w Warszawie — Andrzej Molenda — podpisał pismo regulujące kwestie przejścia na emeryturę z art. 88 Karty Nauczyciela, które skierowane zostało do wszystkich oddziałów ZUS w Polsce, resortu oświaty i wychowania oraz ZNP. W trzy dni później z tego samego oddziału ZUS wychodzi jednak inne pismo w tej samej sprawie, podpisane przez starszego radcę Działu Emerytur i Rent — Jadwiegę Kalinowską, które przeczy pierwszemu. Powstaje w związku z tym galimatias, urwanie głowy. Kto ma rację: dyrektor czy starszy radca? Rzecz jasna, w teren powinno teraz wyjść pismo trzecie, ale nie wychodzi — kto cierpi zwykły, sterany pracą obywatel.”

Inny list: „Mamy Kartę Nauczyciela. Dobrą, przekonsultowaną w środowisku Kartę, która służy nauczycielowi, oświacie i szkole. Ale ledwie się ona ukazała, już znaleźli się jej reformatorzy. Zmieniono kilka artykułów, z kilku zrezygnowano, gdyż nie były one dopasowane do kolejnych ustaw, które — nawiasem mówiąc — ukazały się później. Zapędy na Kartę nie ustawały. Dopiero odrodzony ZNP położył kres tym zakusom. Zanim to jednak nastąpiło, były frustracje, było niezadowolenie i niechęć do pracy”.

List trzeci: „Czasami mam wrażenie, że w naszym kraju są ludzie, którzy niejako etatowo rozbudzają niepokoje społeczne. Siedzą tacy przy biurkach w wysokich urzędach i wymyślają: co by tu jeszcze dodać, dołożyć, dopisać, skomplikować, co uczynić, aby z igły wyszły widły? No i powstają różne regulaminy i zarządzenia, często tak skomplikowane i niezrozumiałe, że trzeba opracowywać dodatkowe akty wykonawcze do tychże. A normalnego człowieka — dyrektora szkoły na przykład — krew zalewa, bo nie wie jak te opracowywane regulaminy wprowadzić w życie...”

Cóż dodać do tych wypowiedzi. Mogę wyrazić tylko nadzieję, że w roku przysz-

łym związki zawodowe — szczególnie związki! — wydadzą owym biurokratycznym zapędem, owej administracyjnej pasji komplikowania życia, zdecydowaną walkę. I my — dziennikarze „Głosu” — do tej akcji dołączamy się jak jeden mąż.

Niech ten nadechodzący nowy rok zacznie być... cudowny w dosłownym tego słowa znaczeniu. Niech rozpoczną owocować decyzje — te słuszne, które zaczęliśmy realizować. Niech dobra, rzetelna praca, będzie dobrze rzetelnie opłacana. Wtedy nie trzeba będzie nikogo namawiać do wydajniejszej pracy.

Niech też — w tym nowym roku — zacząć owocować wszystkie uchwały podejmowane przez ZNP, a dotyczące przede wszystkim sprawnej organizacji pracy szkoły. Czas — najwyższy już czas — podjąć wiążące decyzje w kwestii kształcenia, dokształcania i doskonalenia nauczycieli. Chcę być w tym wypadku optymistą. Oto przed kilku dniami otrzymałem z resortu szkolnictwa wyższego dokument zatytułowany: „projekt zmian w systemie kształcenia, dokształcania i doskonalenia nauczycieli” opracowany przez międzyresortowy zespół do spraw kształcenia, dokształcania i doskonalenia, któremu przewodni ministerstwo NSZWiT. Wiem, że w tym projekcie były uwzględniane te argumenty, które były wysuwane na listopadowym plenium ZG ZNP. Mówi się więc w tym dokumencie o pełnej drożności studiów dla nauczycieli; o niezbędnym przygotowaniu pedagogiczno-psychologicznym studentów, zamierzających podjąć pracę nauczycielską, o tym, że warunkiem ukończenia studiów typu uniwersyteckiego i innych studiów wyższych byłoby zaliczenie również przez studentów bloku zajęć z zakresu pedagogiki i psychologii w ilości co najmniej 300 godz. zajęć; mówi się o wprowadzeniu do studiów uniwersyteckich praktyk pedagogicznych, o możliwości równoległego nauczania dwóch przedmiotów, o systemie kwalifikowania absolwentów szkół średnich na kierunki nauczycielskie, o stworzeniu systemu sprawdzającego predyspozycje do wykonania tego zawodu itp. Słowem — piękny program, rzecz w tym, by nie zniknął z horyzontu, ażeby nie został zamknięty w szufladzie, tak jak to dawniej bywało.

Dobrze przygotowany do podjęcia swoich zadań absolwent wyższej uczelni gwarantuje dobry poziom szkoły. Dobrze przygotowany — to znaczy dobry przedmiotowiec i dobry wychowawca. Tu refleksja — do dzisiaj lansowana jest przez wpływowe kręgi profesury akademickiej teza, że wyższa uczelnia powinna kształcić przede wszystkim dobrego przedmiotowca, a więc nauczyciela matematyki, biologa, polonistę itp., a więc specjalistę z danej dyscypliny wiedzy, a nie nauczyciela, przygotowanego również do pełnienia funkcji wychowawcy. Stąd olbrzymie trudności z nawiązaniem przez młodych nauczycieli kontaktów z klasą, młodzieżą i niechęć do wszelkiej pracy społecznej. Osobiście spotkałem się z takim absolwentem, który w swojej klasie (ósmej) stosuje tylko wykłady ex cathedra: żadnych dodatkowych wyjaśnień, żadnych pytań, żadnych powtórzeń. Wykład i kropka. I klasówka jako sprawdzian. Kuriozum, wyjątek? Wcale nie jedynie.

W procesie kształtowania postaw młodzieży znaczną — jeśli nie decydującą rolę — odgrywa nauczyciel. Jego postawa na lekcji, światopogląd, uutożsamianie się z polityką państwa, jego racją stanu oraz głęboka i rzetelna wiedza powodują, że uczniowie zaczynają — nawet często nie zdając sobie z tego sprawy — naśladować swego wychowawcę w postępowaniu, argumentacji, sposobie bycia. Wiemy o tym. O tym wiedzą też nasi przeciwnicy. Stąd tyle wysiłków z ich strony, aby podważyć w nauczycielskich sercach i umysłach sens pracy wychowawczej — właśnie wychowawczej.

W tym miejscu rodzi się pytanie: czy te wysiłki przynoszą efekty? Trzeba powiedzieć wyraźnie: polscy nauczyciele w swojej zdecydowanej większości dobrze wykonują swoje obowiązki, choć nie jest im łatwo. Dziesiątki tysięcy spośród nich dają z siebie więcej, niż wymaga tego pedagogiczny obowiązek. Są aktywni nie tylko w szkole, ale we wszystkich przedstawicielskich organach, działają społecznie w partii, stowarzyszeniach politycznych, PRON, organizacjach młodzieżowych, związkach, spółdzielczości. Oczywiście zdarzają się wyjątki. Jak wszędzie zresztą, ale nie świadczą one o regule, nie pozwalają na wyciąganie krzywdzących wniosków o złej pracy nauczycieli jako grupy zawodowej, jako całości. A takie opinie można usłyszeć — takie opinie można wyczytać.

Nauczycieli trzeba oceniać, ale sprawiedliwie, gdyż tylko taka ocena potrafi mobilizować do lepszej pracy i większego wysiłku.

Szkola i nauczyciele pracują w bardzo ciężkich warunkach. Mimo jednak tych trudności, szkoła i nauczyciele realizują swoje zadania. Trzeba ten fakt dostrzegać wszędzie i po prostu szkole i nauczycielowi pomagać.

Niech ten nowy 1985 rok będzie okresem, w którym nauczyciele tę pomoc społeczeństwa odczują wyraźnie. Dla nas będzie to rok... cudowny właśnie. Jak zwykle zresztą.

ZBIGNIEW PAWLÓWSKI

PRZEDŁUŻONY FINISZ

CD ZE STR. 1

15 sierpnia. Jest to pierwszy termin. Ponaud ma prawo do kolejnych czterech tygodni na przygotowanie się do egzaminu. Jak zatem widać, zgodnie z przepisami można studia ukończyć nie w czerwcu, lecz w połowie września. Pracę można złożyć także w drugim terminie, czyli 3 miesiące później, a więc do 15 listopada. I znów zainteresowany ma prawo do kolejnych czterech tygodni na przygotowanie się. Mamy więc schyłek roku kalendarzowego. Jeśli komuś w ogóle się nie spieszy, może, w uzasadnionych przypadkach, złożyć pracę magisterską w 2 lata po zakończeniu nauki. Ktoś zatem, komu nie zależy na podjęciu pracy, wejściu w dorosłe samodzielne życie, będąc w całkowitej zgodzie z obowiązującym regulaminem, może sobie „przebablować” nawet dwa lata. I nikt z tego powodu nie może mieć do niego pretensji. Coraz częściej zatem padają pytania: tabakiera dla nosa czy nos dla tabakierzy?

Winni są studenci, czy może przyczynić trzeba szukać także gdzie indziej? Niewątpliwie jedno i drugie. Bo przecież na pewno nie student jest winien temu, iż w niektórych szkołach zbyt późno przydzielane są tematy prac dyplomowych, że promotorzy wyjeżdżają za granicę bez wyznaczania swych zastępców, że są kłopoty z wykonaniem prac laboratoryjnych; że często rozkład zajęć na ostatnim, dyplomowym, roku nie służy pisanemu pracy końcowej. Ba, niekiedy wręcz sami pracownicy naukowi wydają się nie być zainteresowani tym, by dyplomant wcześniej opuścił mury macierzystej uczelni. Ale jest to tylko jedna strona medalu. Drugą stanowią bowiem postawy i opcje samej młodzieży.

Wymowne są na przykład opinie, jakie słuchaczom wystawiają nauczyciele akademicki zapytani o przyczyny pogarszającej się terminowości kończenia studiów. I tak najczęściej wymienia się korzystne świadczenia socjalne przyznawane studentom, po wtóre brak bodźców materialnych do podejmowania pracy oraz trudny start zawodowy młodzieży. Poza tym, brak nawyków systematycznej pracy, wzrost liczby urlopów macierzyńskich i kłopoty materialne rodzin studentek. Co ciekawe, nauczyciele akademicki na dalszych miejscach umieszczali przeszkody w postaci braków źródeł informacji, czy zbyt późne przystępowanie do prac eksperymentalnych. Można zatem wysnuć wniosek, że młodzież nie kończy nauki w terminie przede wszystkim dlatego, że to się nie opłaca. Jak bowiem inaczej wyjaśnić fakt, że najgorzej jest na kierunkach humanistycznych, na których przeważa z reguły eksperyment intelektualny, gdzie warsztatem pracy dyplomanta jest głównie książka, czytelnia, notatnik, a nie laboratorium.

Jak jest zatem naprawdę? Nie jest łatwo odpowiedzieć na to pytanie. Zważmy, co oferuje się startującemu magistratowi w miejscu pracy, jak rozpoczyna on start zawodowy i życiowy. Proste porównanie „zy-sków i strat” spełnia demobilizującą rolę. Przynajmniej dla kogoś, kto pochodzący z prowincji, przez pięć lat mieszka w stolicy i ma przed sobą perspektywę powrotu na „stare śmieci”; dla kogoś, kto ma gdzie mieszkać za dwa tysiące, a po studiach przyjdzie mu wynajmować lokum za wielokrotność tej sumy; dla kogoś, kto niezbyt lubi podejmować samodzielne decyzje itp.

W przemyśle na trzymiesięcznym stażu pracy — 6,5-7 tys. złotych, po stażu 1,5-2 tys. podwyżki. W administracji, przez rok aplikacji, około 7 tys., potem „awans” na 8-9 tys. Podobnie w oświacie, gdzie bez godzin ponadwymiarowych trudno początkującemu przekroczyć 8-9 tys. Inżynier w zakładzie zarabia mniej niż robotnik w akordzie, magister mniej, niż ci prowadzący sezonowe zielonki. A co z mieszkaniem? Ministerstwo Pracy, Płac i Spraw Socjalnych otwarcie przyznaje, że dysponuje propozycjami pracy, ale nie oferuje „pracy z mieszkaniem”. Wprowadzone rok temu nowe zasady zatrudniania absolwentów w miejscowościach, gdzie występują ostre braki kadr z wyższym wykształceniem, póki co nie wypaliły. Miałby być wysoki kredyt, domki, działki, a jest... W maju 1984 roku podsumowano pierwszy etap funkcjonowania systemu: raptem 400 osób uzyskało tą drogą możliwości wybudowania sobie własnego lokum. Czy można więc dziwić się młodym ludziom, którzy przez kilka lat studiów nauczyli się przynajmniej kalkulować?

Niezależnie jednak od tego typu przyczyn istnieją jeszcze inne, skłaniające do zastanowienia. Mam tu na myśli dające się zaobserwować tendencje do... ograniczania zatrudnienia absolwentów w niektórych gałęziach gospodarki. Już dziś inżynier rolnik ma kłopoty ze znalezieniem miejsca pracy w gospodarce uspołecznionej. W ostatnich trzech latach, jak wskazują dane, PGR i spółdzielnie produkcyjne,

zmniejszyły liczbę zatrudnionych o około 100 tys. osób. Cięcia dotknęły także tych z wyższym wykształceniem. Resort pracy przyznaje zresztą, że nie ma ofert dla około 1000 tegorocznych absolwentów kierunków rolniczych, a przecież są jeszcze ci, którzy ukończyli studia wcześniej lub ukończą je w bliskiej przyszłości.

Podobnie zaczyna się dziać także w niektórych przedsiębiorstwach przemysłowych. W przemyśle od dawna mówi się, że za dużo widać mamy inżynierów, skoro poobsadzali oni nawet stanowiska mistrzów, gdzie równie przydatny byłby ktoś tylko ze średnim wykształceniem i paroma latami praktyki. Co prawda świeżo upieczony inżynier jeszcze jest wziętym „towarem”, bo jego niska płaca obniża średni przyrost płac w zakładzie, co umożliwia podwyższenie zarobków starszym stażem pracowników bez odpisów na FAZ. Nowe zakładowe układy zbiorowe mogą zmienić niekorzystne dla inżyniera relacje, ale mogą też spowodować wzrost cięgot do ograniczania zatrudnienia osób z wyższym wykształceniem. Brakuje robotników a nie jagogłowych”, słyszymy coraz częściej. Trudno przypuszczać, że głosy te nie docierają także do studentów. Docierają i jest to kolejny czynnik „odstraszaający”.

Mówiąc o nieterminowym kończeniu studiów, nie można pominąć także i tych faktów. Nie zamierzam rozgrzeszać młodzieży studenckiej, lecz nie sposób przekształcić uczelni w przechowalnię setek dorosłych, wykształconych ludzi. Niestety, tak się właśnie dzieje, pomimo zabiegów dyscyplinujących proces studiowania. Zgodnie z obowiązującymi przepisami młody człowiek może studiować nawet dziewięć lat. Regulamin daje mu prawo do „obłania” jednego roku, może raz uzyskać urlop dziekański, a po tym ubiegać się jeszcze o przedłużenie o 2 lata terminu składania pracy dyplomowej.

Resort szkolnictwa wyższego zdaje sobie doskonale sprawę, iż trzeba zacząć jak najszybciej przeciwdziałać pogłębianiu się tego zjawiska. Ale jak, skoro ma ograniczony wpływ na samorządne szkoły wyższe, a także na losy absolwentów. Może, co prawda, zalecić szkołom skrupulatniejszą kontrolę tematów prac dyplomowych i ich wykonania, może prosić rady wydziałów i instytutów o systematyczniejszą analizę pracy promotorów ze studentami, może wreszcie wnieść zmiany do wspomnianego regulaminu studiów. Ale to wszystko. Czy poza tym jest w stanie na przykład wpłynąć na zmianę pozycji i statusu absolwenta, magistra, inżyniera w miejscu przyszłej jego pracy? Doświadczenia dnia dzisiejszego wskazują, że zarówno szkoły wyższe, jak też resort nie mają na te mechanizmy wpływu.

Wiele faktów świadczy o tym, iż wpadliśmy jakby w ślepią uliczkę. Można, rzecz jasna, rzucić gromy na młodzież, że jest infantylna, nieodpowiedzialna. Ale takimi metodami niewiele się tu zmieni. Obawiam się, w dodatku, że odkryliśmy dopiero wierzchołek lodowej góry, która w niedalekiej przyszłości, gdy na uczelnie wkroczy wyż demograficzny, może się niebezpiecznie zwiększyć. I to z co najmniej kilku powodów.

Jak wiadomo, od kilku już lat ograniczane są limity przyjęć na pierwsze lata. Stan taki nie może trwać wiecznie. Za kilka lat trzeba będzie szerzej otworzyć mury uczelni. Właśnie dla roczników wyższych. Można więc przypuszczać, że i na ostatnich latach studiować będzie więcej, niż dziś, studentów. Gdyby obecne trendy utrwały się, wówczas znacznie więcej osób będzie przedłużać sobie naukę.

Kolejny problem, to ewentualne skutki reformy gospodarczej w polityce zatrudnienia. Od 3 lat powtarzamy, że reforma musi się udać, ale mówimy też, że idea reformy jest wyższa efektywność i jakość pracy na każdym stanowisku. Mówiąc krótko — tę samą robotę będzie musiał wykonywać jeden człowiek, a nie, jak obecnie dwóch czy trzech. A więc skurczy się rynek pracy dla inżynierów. Co mogą przynieść apele o ich efektywniejszą pracę, jeśli nie ograniczenie zatrudnienia dla kolejnych roczników absolwentów?

Naturalnie, wcale tak być nie musi. Ale jest jeden warunek — trzeba stworzyć nowe miejsca pracy dla dyplomantów wyższych uczelni. Czy stać nas w tej chwili na taki wysiłek? Nie wydaje się. Czy zatem za kilka lat nie przyjdzie nam cieszyć się z tego, co dziś nas tak niepokoi? Tę refleksję pozostawiam bez komentarza.

WOJCIECH SIERAKOWSKI

GŁOS NAUCZYCIELSKI 7

KONTROWERSYJNY SEN INSPEKTORA

Inspektorowi Stanisławowi Kłowski „dała się poznać” napierając nań z całym impetem, walcząc desperacko o zlikwidowanie rozlewiska z szamba, bo śmierdziało!

Kolega inspektor uznał zrazu, że pismo w tej sprawie (i sposób bycia) koleżanki Joanny Bońkowskiej jest wysoce ultimatywne, a słowo „śmierdzi” nieeleganckie, wręcz urzędowo niedopuszczalne. Później jednak strony doszły do porozumienia, ustalając ponad wszelką wątpliwość, że szambo nie pachnie, a więc śmierdzi i sprawę trzeba załatwić szybko!

Krótko po tym incydencie inspektor zaproponował J. Bońkowskiej ewentualne objęcie przez nią, na razie w zastępstwie, funkcji dyrektora szkoły. To był czerwiec. Wakacje. J. Bońkowska postanowiła rzecz rozważyć.

Szkołka w Głusku jest niewielka, wręcz filigranowa. A grono pedagogiczne, to osiem pań i jeden pan. Stosunki nieomal rodzinne. Większość grona pracuje tu od lat. Poprzedni dyrektorzy byli wręcz wspaniali, tak wspominają ich dzisiaj nauczyciele tej szkoły. Dbali o dobry poziom tej wiejskiej szkółki. Dyrektor Józef Kryński „wykształcił nas”, mówią, wszystkie mamy wyższe studia. Ostatnia dyrektor, Anna Janiak, nie zmieniła punktu widzenia, siedząc na fotelu dyrektorskim. Była koleżanka, bardzo zaradna, kiedy trzeba było, zakasała rękawy i wyremontowała piec kaflowy. Wnuczka zdnała! Była zawsze z młodzieżą i nauczycielami.

Tym razem — gdy powstał wakat na stanowisko dyrektora — grono pedagogiczne postawiło na Joannę Bońkowską, która mimo woli, w sposób naturalny i niezamierzony, objawiła wszelkie talenty predestynujące ją do piastowania funkcji dyrektorskiej. Koledzy scharakteryzowali ją jednym tchem: fizyk, dobry dydaktyk i wychowawca, a przede wszystkim szybka, bystra, świetny organizator. Młoda i energiczna. Nie raz i nie dwa wybawiła szkołę z kłopotów.

Wybór grona, zapewniają mnie nauczyciele, nie był spontaniczny, raczej wykalikulowany, żadne sentymenty czy układy nie wchodziły w grę. Tylko i wyłącznie interes szkoły. W najbliższym czasie przy sprzyjających wiatrach, można założyć, że szkoła będzie miała tysiąc i jeden problemów, gdyż, notabene za sprawą J. Bońkowskiej, wrzucono ją do planu i będzie przeżywała generalny remont (czytaj rozbudowa szkoły). Dyrektorowanie więc nie będzie łatwym chlebem. Mniej splendorów, więcej kłopotów.

22 sierpnia inspektor zwołał nadzwyczajną radę pedagogiczną poświęconą obsadzeniu stanowiska dyrektora. Przedstawił trzy kandydatury: Teresy Wawrzonkiewicz, Wandy Goczałek i Joannę Bońkowskiej, ale już na wstępie rzecz postawił uczciwie i oświadczył, że na tym stanowisku widzi koleżankę Teresę Wawrzonkiewicz. Wanda Goczałek zrezygnowała z ubiegania się o fotel, a Joanna Bońkowska mocniej usiadła na krześle.

Rada pedagogiczna ze zdumieniem patrzyła na inspektora, który zachęcał do szczerych wypowiedzi i opinii o kandydatkach. Zaskoczenie było kompletne, albowiem nikt nie spodziewał się kandydatury T. Wawrzonkiewicz, chociażby ze względu na jej złą kondycję zdrowotną. Co prawda domyślałam się, że od lat nosi butawę dyrektorską w torbie, ale jakoś nie było okazji, aby zamiar bycia dyrektorem ziszczyć się.

Pracuje ponad 20 lat. Szkole i dzieciom oddana jest może z nich wszystkich najbardziej. Życie nie szczędziło jej zmar-

twień i tragedii. Czern jest tego symbolem. Stąd i zdrowie nie najlepsze.

Bardzo chciałam zostać dyrektorem tej szkoły — mówi do mnie — żyć tą szkołą, być w niej od świtu do nocy. Może chodzi mi o wyciszenie spraw osobistych.

Jest przeciwieństwem J. Bońkowskiej, jedynej kandydatki grona koleżeńskiego. Ma tego pełną świadomość. Rzeczywiście, jest inna. Wyciszona, spokojna, być może robi wrażenie passywnej, bo nie jest zbyt energiczna. Przez wiele lat miała wiele dowodów na to, że koleżanki ją lubiły, szanowały. Czemu więc nie spróbować? Zdecydowała się więc kandydować.

Wyzwanie inspektora o opiniowanie kandydatek, chcąc nie chcąc, rada pedagogiczna musiała przyjąć. O Joannie Bońkowskiej mówiono w superlatywach, wskazując na jej niewątpliwe walory przydatne na tym stanowisku. O Teresie Wawrzonkiewicz starano się formułować opinie ogólnie, aby jej nie dotknąć, wszak na to nie zasługiwała, to zrozumiałe. Powiedzieli jednakże inspektorowi, że sądzili, iż minęły już czasy przynoszenia dyrektora w teczkę i chyba rada pedagogiczna ma tu coś do powiedzenia, a nie tylko inspektor. Zaś koleżance T. Wawrzonkiewicz powiedziano wprost, po koleżeńsku, wszak przeżyły tyle lat trudnych i dobrych. „Ty się na to stanowisko nie nadajesz. Nie masz zdrowia ani siły, aby podołać takim organizacyjnym zmaganiom. Ta funkcja to dla ciebie deska do trumny, ważniejsze zdrowie”.

Mniej więcej w tym duchu toczyła się dyskusja wokół kandydatek. Odbiło się nawet głosowanie. Wszyscy — poza jedną osobą — optowali za koleżanką J. Bońkowską.

Sprawa zaczęła się więc komplikować, przeto inspektor postanowił „przespać się z decyzją” i dopiero nazajutrz wezwał te-

lefonicznie obie panie, aby jednej z nich wręczyć nominację. Jak twierdzi J. Bońkowska, w czasie tej krótkiej rozmowy oświadczył, że oczekuje jej przybycia, gdyż w przypadku rezygnacji T. Wawrzonkiewicz — ona otrzyma nominację. Na takie dictum J. Bońkowska została w domu, z chorym dzieckiem. Do Urzędu Gminy po nominację udała się Teresa Wawrzonkiewicz.

Od tego momentu mija już czwarty miesiąc. Ktoś z zewnątrz, przebywający w tej szkole, może odnieść dość dziwne wrażenie. Jest szkoła, dzieci, nauczyciele i, oczywiście, dyrektorka szkoły. Niby wszystko normalne, ale coś tu pęka. Milczenie, tak wymowne, wszystkich nauczycieli, usuwa poza tę niewielką społeczność T. Wawrzonkiewicz.

Nauczyciele mówią z całą stanowczością (i są dotychczas konsekwentni), że nigdy takiej sytuacji nie zaakceptują, albowiem uważają, że interes szkoły jest ważniejszy niż sentymenty administracji wobec koleżanki. Ponadto są urażeni, że inspektor zupełnie zignorował ich opinię o kandydatkach. Mało tego, ponieważ oszczędziły koleżankę T. Wawrzonkiewicz na radzie pedagogicznej, nie negując jej kandydatury w sposób obcesowy (choć wyraźnie sprezyrowały swoje stanowisko), wykorzystuje on ten moment. I tak na przykład w odpowiedzi na ich skargę stwierdza, że „Na posiedzeniu rady pedagogicznej przy Szkole Podstawowej w Głusku, 22 sierpnia 1984 r., w którym osobiście uczestniczyłem, nie było uzasadnionych, negatywnych motywów w stosunku do ob. Teresy Wawrzonkiewicz, które eliminowałyby powierzenie jej stanowiska dyrektora szkoły. Sytuację taką należy uznać za akceptację, pomimo braku jednomyślności całej rady pedagogicznej. Ponadto nadmieniam, że w żadnym dokumencie nie zostało dotychczas zapisane, że dyrektora szkoły należy powoływać przez referendum rady pedagogicznej”.

Niby „święta prawda”, alści nie da się ukryć, że inspektor zastosował zwód formalny, gdyż postępowanie dowodowe w oparciu o protokół rady pedagogicznej udowodniłoby ponad wszelką wątpliwość, że rada pedagogiczna nie zaopiniowała pozytywnie kandydatury obecnej koleżanki dyrektora.

Rada pedagogiczna zwróciła się więc z pismem interwencyjnym do Kuratorium Oświaty i Wychowania w Warszawie, skąd otrzymała dość enigmatyczną odpowiedź podpisaną przez kierownika Oddziału Kształcenia Ogólnego, mgr. Józefa Nowaka, „na powołanie ob. T. Wawrzonkiewicz nastąpiło z zachowaniem przepisów formalno-prawnych. I kropka.

Piszą więc nauczyciele z Głuska do ministerstwa. Wicedyrektor Dep. Kadr i Spraw Socjalnych MOiW, Jerzy Karczewski zwraca się bezpośrednio do kuratora Jerzego Polańskiego z prośbą o ponowne zbadanie sprawy. Tym razem kuratorium informuje radę pedagogiczną, że: „Zgodnie z artykułem 17 ust. 1 Karty Nauczyciela funkcje kierownicze w placówkach oświatowo-wychowawczych powierza nauczycielom organ nadzorujący szkołę po pozytywnym zaopiniowaniu przez radę pedagogiczną”. Otóż to, chciałoby się rzec!

Ala pismo kuracyjne na tym się nie kończy. Czytamy dalej: „powyższe nie oznacza, że dyrektora szkoły wybiera rada pedagogiczna”. Koniec pisma. Na czym polega badanie sprawy, pozostanie słodką tajemnicą kuratorium.

Na tym zabawa w ciuciubabkę z gronem nauczycielskim — które dobrze wie, jakie ma formalne uprawnienia przy obsadzeniu stanowiska dyrektora, bez pouczenia ze strony kuratorium — zakończyła się.

I cisza trwa. Cisza, która nie wróży niczego dobrego. Rokowania są raczej smutne. Wcześniej czy później dojdzie do zniszczenia tej wspaniałej atmosfery budowanej przez lata ciele, bo przecież w tej szkole ci sami nauczyciele pracują od lat.

Wie o tym i mówi Teresa Wawrzonkiewicz.

— Dopóki będę dyrektorem, będzie to wymowne milczenie. Nie będzie współpracy, bo nigdy nie będzie akceptacji.

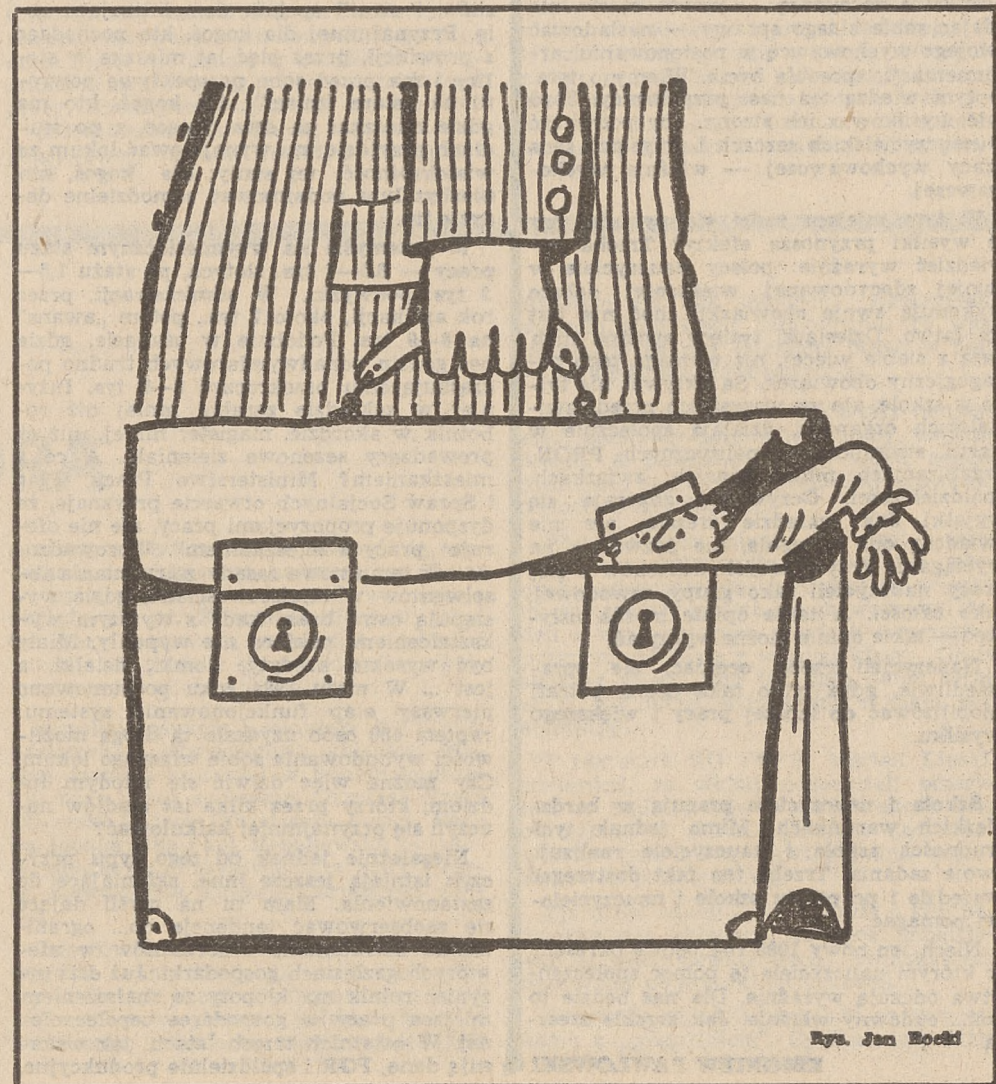
Jest to wyznanie szczere, ale i gorzkie. Postawa bliska rezygnacji? Zawiodła się na koleżankach, bowiem sądziła, że nawet jeśli obejmie to stanowisko bez ich akceptacji, co więcej — wbrew ich woli, z czasem wszystko się ułoży, bo przecież ją lubiły. Życie jest jednak twarde, zwłaszcza dla niej. Powierzenie jej funkcji dyrektora traktuje jako wielkie uznanie ze strony władz. Zasłużyła swoją pracą i oddaniem na ten zaszczyt. Dzisiaj jednak sądzi stanowczo, że wyrażając zgodę na objęcie tej funkcji postąpiła nierozważnie, wręcz lekkomyślnie, ale nie traci nadziei... Czeka!

W rozmowie ze mną Teresa Wawrzonkiewicz powiedziała także: „władze nie przemyślały sprawy do końca”. Inspektor jest jednak innego zdania. To prawda, że rada pedagogiczna była przeciwna kandydaturze T. Wawrzonkiewicz, mówi o tym chociażby wynik głosowania — stwierdza kolega inspektor, zadając w ten sposób kłam stanowisku zawartemu w piśmie do rady pedagogicznej. Dlaczego więc powierzył urząd wbrew opinii rady?

Po pierwsze dlatego, że koleżanka J. Bońkowska nie przybyła do urzędu po nominację razem z koleżanką T. Wawrzonkiewicz, a więc odczytał to jednoznacznie: zrezygnowała. Po drugie: koleżanka T. Wawrzonkiewicz jest starsza, ma większe doświadczenie i wyrobienie społeczne. Jest zaangażowana. Pełni funkcję radnej Gminnej Rady Narodowej i jest sekretarzem POP. Natomiast u koleżanki J. Bońkowskiej zauważył motyw karierowiczowski. „Przebojowo i za wszelką cenę”. Ponadto: młoda i może jeszcze poczekać (36 lat). Z tym przekonaniem, że czyni dobrze, podtrzymując na duchu koleżankę T. Wawrzonkiewicz, obdarował ją tą funkcją. To smutne i brzemienne w skutkach, że tylko on (!). I władze gminne — jak zwykle — dodaje się przy takich okazjach. Była to — dodajmy — ostatnia decyzja inspektora Stanisława Kłosa, albowiem objął on funkcję sekretarza Gminnej Organizacji Partyjnej — pozostawiając twarde orzech do zgryzienia swojemu następcy.

Póki co, konflikt toczy się w czterech ścianach pokoju nauczycielskiego. Albowiem nauczyciele tej szkoły hołdują zdrowej zasadzie: „brudy pierze się u siebie w domu”. Nie wciągają w sprawy wyłącznie nauczycielskie ani środowiska, ani rodziców, ani uczniów, jak to często bywa. Patrzą jednak zimno na potknięcia, nawet drobne (zaginięcie kluczy) nowej dyrektorki. Są zintegrowani w tej ostrości spojrzenia, jakkolwiek nie złośliwi. Czeka. Kto przetnie ten supeł? Zapewne będzie to operacja trudna.

TERESA KONARSKA



Rys. Jan Bochi

Zdaniem prof. dr hab. Juliana Aleksandrowicza — znakomitego internisty i założyciela Komisji Profilaktyki i Ochrony Zdrowia Polskiej Akademii Nauk — rejon zagrożenia ekologicznego w Polsce obejmuje obszar 27 000 km kw. W całym kraju na niektórych obszarach są one tak wielkie, że w gruncie rzeczy znaczne połacie ziemi powinno się wyłączyć spod upraw i rozpocząć na nich prace rekultywacyjne. Z ekspertyzy uczonych, zgromadzonych w Komitecie Nauk Chemicznych Polskiej Akademii Nauk, wynika, że zagrożenie ekologiczne występuje w 23 rejonach. Wiadomo, że najsilniej narażony na zatrucie jest dziś Górny Śląsk, Krakowskie, zagłębie legnicko-głogowskie, Trójmiasto, Płock, zagłębie miedziowe.

Oczywiście, chodzi nie tylko o zatrucie wody w rzekach, jeziorach, w morzu. Powietrze, którym oddychamy, też jest częściowo zanieczyszczone wylęgami przemysłowymi. W rezultacie nad człowiekiem wisi groźba chorób cywilizacyjnych, obniżenia sprawności umysłowej i fizycznej.

Sytuacja dojrzała więc do tego, aby bić na alarm! Nie jesteśmy — oczywiście — wyjątkiem. Zagrożenia ekologiczne występują na całym świecie. Warto podkreślić, że zagrażają nam nie tylko zanieczyszczenia przemysłowe oraz te wynikające z chemizacji rolnictwa. Człowiek sam podejmuje wiele działań destrukcyjnych, własnymi rękoma niszczy środowisko i — tak ważne dla życia — jego bogactwo naturalne.

KOSZTY POSTĘPU?

Przed wszystkim chodzi o nieprawidłowe rozwiązanie problemów oczyszczania gazów i ścieków przemysłowych oraz o złą lokalizację zakładów. Stefan Kozłowski w książce pt. „Przyrodnicze uwarunkowania gospodarki przestrzennej Polski”, wydanej przez Wszechnicę Polskiej Akademii Nauk — stwierdza, iż trudno wskazać wybudowany u nas zakład, który miałyby prawidłowo rozwiązane problemy oczyszczania. Z wadliwie zlokalizowanych — z

kopalnie: wielicką, bocheńską i kłodawską. Są one nieocenionymi wprost skarbnicami biopierwiastków ważnych dla zdrowia i życia człowieka. Zawarte w soli: jod, kobalt, mangan, miedź, selen, magnez, żelazo — mogą ochronić organizm ludzki przed „cywilizacyjnymi” zatruciami. Warunkiem jest jednak spożywanie soli naturalnej, nieocyszczonej. Niestety, tego się właśnie nie robi.

Nasi przodkowie, wydobywając sól prostymi metodami, nie pozbawiali jej żadnych bogactw naturalnych. Nazywano wówczas sole wielicko-bocheńskie „darem królów i królowi” lub „solami królewskimi”. Dziś nie jest to już „królewska sól”. W nieprzemysłowym dążeniu do udoskonalenia produkcji, pieczołowicze oczyszczamy sól naturalną, pozbawiając ją wszelkich biopierwiastków. W efekcie jest sypka, biała, ładnie wygląda, ale niewiele poza słonym smakiem daje.

Profesor Julian Aleksandrowicz oraz członkowie Komisji Profilaktyki i Ochrony Zdrowia — walczą o zmianę sposobów wydobywania soli. Z kolei Państwowy Instytut Higieny argumentuje, że sól zawiera również metale ciężkie i na zmianę metod nie wydaje zezwolenia. A przecież metale ciężkie można z soli usunąć, nie pozbawiając jej wartościowych biopierwiastków. W rezultacie udało się jedynie doprowadzić do wydobywania niezbyt wielkiej ilości soli naturalnej z kopalni kłodawskiej. Sprzedawana jest ona w 20-kiłogramowych workach, przeważnie stołowym zakładowym czy szkolnym.

Podobnie wygląda sprawa przemiatu mąki. Od żarna przeszliśmy do nowoczesnych metod jej mielenia, niestety, nie chroniąc mąki przed utratą wartościowych składników.

NIE JEDEN SPOSÓB

Człowiek nie jest jednak bezbronny wobec zagrożeń ekologicznych. Tak uważa m.in. znawca zgadnienia, profesor Aleksandrowicz. Podstawowym warunkiem obrony jest aktywna postawa wobec niebezpieczeństwa.

Wiele problemów ekologicznych może być rozwiązywanych tylko globalnie. Istnieje, jak wiadomo, rządowy program rozwoju produkcji urządzeń i aparatury dla potrzeb ochrony środowiska. W założeniach Centralnego Planu Rocznego na drugą połowę 85 roku przewidziano znaczny wzrost nakładów na te cele. Rzecz jednak w tym, że z realizacją planów w tej dziedzinie nie jest najlepiej. Z obrad Komisji Ochrony Zdrowia Ludności i Środowiska KC PZPR, które odbyły się 29 sierpnia br. — jasno wynikało, że stan realizacji obiektów związanych z ochroną wód, powietrza czy ziemi jest niezadawalający, a zwiększone środki finansowe nie są w pełni wykorzystywane. Tymczasem alarmująca w kraju sytuacja dopinguje.

Niezależnie jednak od konieczności rozwiązywania tych problemów w skali makro, niezbędna jest indywidualna dbałość w skali mikro — o ochronę środowiska, obrona przed zagrożeniami. Mam tu na myśli zarówno właściwe traktowanie środowiska, dbałość o czystość swego otoczenia, nienaruszanie jego bogactw naturalnych, jak również — właściwy tryb życia, uprawianie turystyki, sportu itp. i co bardzo istotne — prawidłowe odżywianie się, umiejętne dobór potraw, dodawanie do pożywienia cennych biopierwiastków.

Człowiek przyswajając „metale życia” takie jak: magnez, cynk, wapń, selen, żelazo, jod, fluor, lit, mangan — może unieszkodliwić metale trujące, np. ołów, rtęć, kadm, beryl, itp.

Teza o konieczności racjonalnego odżywiania się przedwzrostu zatrucia nie jest zresztą nowa. Już w 1848 r. Ant-

heeme Brillant Savarin w swej wydanej w Paryżu książce pt. „Medytacje o gastronomii doskonałej” pisał, że: „...losy narodów zależą od ich sposobu odżywiania się”. Niestety, w naszym społeczeństwie pokutuje szereg złych nawyków żywieniowych. Na przykład utarło się przekonanie, że cenna sól, chleb razowy, kiszonki — to synonim biedy. Tymczasem należą one do najwartościowszych pokarmów. Z naszych stołów — w myśl zasad głoszonych przez profesora Aleksandrowicza — nie powinny schodzić surówki, płatki owsiane, kielki pszenicy, kasza gryczana, jaglana i sól naturalna. Wszystkie one zawierają wiele cennych składników, które unieszkodliwiają działania metali trujących. Wymienione produkty zawierają też spore ilości błonnika, składnika mającego istotne znaczenie dla zachowania zdrowia. To on bowiem wpływa na dobrą przemianę materii, zapobiega między innymi takim dolegliwościom i chorobom „cywilizacyjnym” jak: owrzodzenie przewodu pokarmowego, choroby nowotworowe i inne.

Dawniej wiele produktów spożywczych zawierało błonnik. Niestety, postęp techniczny sprawił, iż produkty zaczęły coraz dokładniej oczyszczać z tego składnika. Uznano, że błonnik nie dostarcza kalorii ani związków odżywczych. Po pewnym czasie przekonano się jednak, że brak lub nawet tylko niedobór błonnika w pokarmach naraża ludzi na wiele chorób.

Innym zbawczym dla człowieka metalem jest magnez. O jego walorach świadczy choćby zwoływanie kongresów naukowych poświęconych temu biopierwiastkowi. Stwierdzono, że niedobór magnezu w organizmie może wywołać choroby cywilizacyjne, takie jak zawał serca, choroby nowotworowe, zmiany miażdżycowe i inne. I w tym przypadku możliwe jest uzupełnienie ilości magnezu w organizmie przez właściwy zestaw potraw.

Zainteresowanych odsyłam do książki: „Kuchnia i medycyna” — Ireny Gmowskiej i Juliana Aleksandrowicza. Na pewno warto dobrze przemyśleć tę istotną nie tylko dla zdrowia, lecz wręcz dla życia, sprawę.

ETYKA EKOLOGICZNA

Nie bez przyczyny powracamy do tak ważkiego temtu, jakim jest wlszaca nad nami katastrofa ekologiczna. Pedagogzy i wychowawcy mają bowiem w tej dziedzinie bardzo wiele do zrobienia, a efektywnie działać mogą tylko wówczas, jeśli sami doceniają wagę problemu.

Na ogół bywa tak, że ludzie, słysząc lub czytając o niebezpieczeństwach ekologicznych, nie odnoszą ich do siebie samych czy do swoich bliskich. Tak, jak gdyby groziły one gdzieś daleko i tylko komuś innemu. Tymczasem groźba jest realna i dotyczy na co dzień każdego z nas.

Społeczeństwu potrzebna jest wiedza z zakresu problemów ekologicznych. Wiele wadliwych działań wynika po prostu z braku wiadomości z tej dziedziny. W programach uczelni podejmuje się już te tematykę; nawet wyższe szkoły techniczne zaczynają uwzględniać problemy ochrony środowiska. Chodzi jednak o to, by również uczniów szkół podstawowych i średnich dobrze przygotować do pojmowania tych niełatwych spraw, a także, by — poczynając od najmłodszych lat — kształtować właściwy stosunek do środowiska, jego ochrony i do obrony własnej człowieka przed niekorzystnymi skutkami cywilizacji.

Niedługo wejdziemy w XXI wiek. O tym czym będzie on dla nas i przyszłych pokoleń — w dużej mierze zadecydują młodzi ludzie, na których dziś możemy w szkołach mieć wpływ.

Fot. Cz. Górski

OCHRONA ŚRODOWISKA

KRAKÓW

NIE JEST WYJĄTKIEM

HANNA POLSAKIEWICZ

O tym, jak wiele problemów przysparza brak czystej wody, przekonać się można w Krakowie. W tym roku, po krakowskich ulicach jeżdżą często beczkowsy. Wielkie stare, toczą się po jezdni jak za „króla Cwieczka”.

Przyczyną tego stanu rzeczy było zanieczyszczenie wód Rudawy i Dłubni, rzek dostarczających wody krakowianom. Popłynął w nich azot amonowy splukany z okolicznych, nawożonych pól. Po okresie suszy, spadł gwałtowny deszcz i on to właśnie „pchnął” nie wchłonięte w glebę nawozy do rzek. Dodać trzeba, że w tym samym czasie wyciekło do Rudawy 25 ton oleju silnikowego z bazy CPN w Olszani-
cy.

punktu widzenia ochrony środowiska — wielkich inwestycji, autor wylicza następujące: Nową Hutę, Legnicę, Głogów, Warszawę, Katowice, Azoty w Puławach oraz elektrownię w Kozienicach i inne. Stwierdza: „planowanie gospodarcze mało interesowało się jakością i czystością środowiska przyrodniczego. W pogoni za wąsko rozumianą efektywnością inwestycji, ograniczając z reguły realizację nawet zaplanowanych pierwotnie, urządzeń oczyszczających gazy odlotowe i ścieki”.

Chodzi jednak nie tylko o tak trudne do naprawienia błędy. Przykładem działań nie przynoszących nam chwały a jednocześnie takich, które byłoby łatwiej skorygować, jest sprawa soli. Mamy aż trzy

JASEŁKOWE DZIEJE

Szopka. W Święta tak zwyczajna, tak dobrze znana, a przecież, gdy w jej historię wejrzeć, ileż znajdziemy niespodzianek, ile spraw wymagać będzie komentarza! Już nawet sama nazwa. Bo co to szopka, żłobek, stajenka — wie każdy. Inaczej z jasełkami. Już lat temu dwieście słowo to uważał za stosowne wyjaśnić Jędrzej Kitowicz i w swym „Opisie obyczajów za panowania Augusta III” notował: „Jasła (...) zowią się zagrody nad żłobem, gdzie stonę nad podściel pod konie służące kładą; mówi się też jasła, kiedy w oborach, w których było stawa, nie masz żłobów, tylko w takie zagrody, z deszczek zrobione, kładą dla bydła stonę i sypią sieczkę”. Co zapisawszy, dodawał: „Ten, co pierwszy wymyślił jasełka (...) rozumiał, że jasła i żłob są imioną jedną rzecz znaczące (...), przeto lalkom swoim i fraszkom dziecięctwa, którymi wyrażał Narodzenie Chrystusowe, nadał imię jasełka”.

Jasełkowa tradycja zaś już za Kitowicza sięgała: była: wiodą ją historycy z Italii XIII wieku. Alści i u nas sięga dalekiego średniowiecza, kiedy w Boże Narodzenie stawiano po kościołach piękne stajenki z figurynkami, gdzie — obok pasterzy w holdzie nad żłobkiem pochylonych — inne też bywały postacie: a to świętych różnych, gdy właśnie ich dzień przypadał, a to Heroda, a to trzech królów z ich egzotycznymi orszakami.

Wokół takich żłobów — a z najpiękniejszych i najbardziej pomysłowych słynął zaczęli z czasem ojcowie kapucyni — zbie-

rali się ludzie i śpiewali koledy. Aż gdzieś u schyłku XVII stulecia pozazdrościli kapucynom dominikanie oraz bernardyni. I rozmyślając, jakby tu kapucynów pokonać — dostojnym przez wieki jasełkowym postaciom „przydali ruchomości”: za stajenką skryci braciszki figurynkami już teraz na kijach umieszczonymi „rozmaite figle wyrabiali”. Na tym zaś nie poprzestając, do tłumy postaci tradycje uświęconych coraz nowe jęli przydawać i to — wprost z ulicy. Tedy pejsaty handlarz zawzięcie się z kimś targował, kłóciły się czerwone ze złości przekupki, żołnierz dumnie popatrywał na tłoczące się dokoła pospólstwo, a tej samej chwili sprytny rzeźmieszek odcinał mu sakiewkę od pasa.

Nie dziw że tłoczyli się ludzie na te nowe jasełka, aż świątynie zakonne ledwo „spektatorów” mogły pomieścić. Ze wszakże raz po raz wybuchali śmiechy, to okrzyki, widzowie tupali i klaskali z ukontentowaniem, co razem tworzyło gwar nieustanny, z powagą miejsca nie licujący — tedy w początkach XVIII wieku biskupi kolejno zakazywać zaczęli urządzania jasełkowych spektakli w kościołach.

I szopka — wyszła na ulice. Żył się jej tam wesoło, niekiedy aż hucznie. Rok 1749, gdy Wisła dobrze już stanęła, cała Warszawa wędrowała i jeździła na Pragę, gdzie w domu tamtejszego obywatela, Zawadzkiego, aż z tysiąca figurynek arcyprzednie i wielce ucielesnione można było podziwiać jasełkowe widowiska.

Takie bogactwo było jednak wyjątkiem.

Z rak zakonnych braciszków drątki kukielek przejęli bowiem głównie zacy szkolni, którzy, po koledzie chodząc — za drobne datki „dziwowskią wyprawiali”. Na tym się figurek ani dowcipu by im nie stało, ani groza. Wszelako i ich jasełka nie były lada jakie. Szopka tak wielka niedkiedy bywała, że ją najsilniejsi z chłopców dźwigać musieli na kijach. A też — coraz osłabniejsza.

Z najwyszukawszej architektury szopkowej przedko zastąpił Kraków, gdzie przez pokolenia, z ojca na syna, rzemieślnicze rodziny chodziły ze sobą w zawody, by z takim najpiękniejszą sporządzić szopkę. I oni też to właśnie — krakowscy rzemieślnicy — narzucili całej Polsce jej wzór: dwie wieże smukłe po bokach, a w środku scena oświetlona płonącymi świeczkami. Z deseczek, z papieru wszystko, barwnie malowane, a pomysłowe, śliczne — aż oczy się radowały. Z takimi to szopkami stukali zacy do drzwi domów, zaglądali do szynków, przystawali na ulicach i placach, gdzie się zaraz wokół nich zbierał tłum.

Czego na scenie jasełkowej nie ujrzałeś! Górali, wesele krakowskie, Cyganów, Kusego Niemczyka i Węgra z olejkami, Małgorzatę „z hułanami” tańczącą i kożę, co na buty zbierała, by hołubce krzesać. Mistrz Twardowski się zjawiał z księżycą prosto, król Herod i śmierć z kosą. Był i wół w świetnym humorze („A czemuż taka wesoła ta leśna bestya? — Widać się nie ożenił, kiedy tak wywija!”), i czarownica masło robiąca, i diabeł, co jej po kryjomu spijał śmietanę. Nie brakło też scenek politycznych o aktualnej wymowie, personalnych aluzji, zabawnych satyrycznych scenek obyczajowych z dnia powszedniego. Trafiała się i kurtyna podnoszona jak w prawdziwym teatrze, a też dwo-

neczek, zwiastujący początek kolejnych części jasełkowego spektaklu.

Takie to jasełka z miast szybko trafiły i na wieś, gdzie od chaty do chaty wędrowały z nimi poczęli mali chłopcy. Daleko im było do wierszyków dowcipnych warszawskich żaków, daleko i do misternej szopkowej architektury mistrzów krakowskich. Ale dwa wieżyczki i scenki choćby jednym ogarkiem oświetlonej nie brakło. Głosy były mniej zgrane, szmaciane kukielki biedniejsze. Sami kolednicy za to — do cna niefrasobliwi. Raz w drodze z jednego domu do drugiego fantazja im przyszła bawiana ulepić, to znów śnieżkami się okładać. I tak trwała wesoła wędrowka, przerywana kołędowaniem, aż do późnego wieczora.

Na Mazowszu i Kurpiach wszelako mali kolednicy nieco wcześniej musieli ustąpić placu parobkom, co już w drugi dzień Bożego Narodzenia, po zmroku zaraz, ruszali przez wieś z orszakiem króla Heroda. Zwyczaj to był z jasełek się wiodący, choć od nich różny. Nie było tu bowiem stajenki z Dzieciątkiem, nie było też kukielek, lecz żywi aktorzy: przebrani i ucharakteryzowani chłopcy. Całe zaś przedstawienie podporządkowane zostało jednej tylko sprawie: śmierci Heroda, którego za zbrodnie diabeł porwya do piekła. Szedł tedy na czele orszaku sam właśnie Herod w koronie, pasie złotystym, z mieczem, w szkarlatnym płaszczu, a obok czarny diabeł i śmierć biała z kosą i maską na twarzy. Dalej „aktorowie” pomniejsi: kanclerz, rycerstwo, dworzanie...

ZBIGNIEW HOŁODIUK

Legendarny kapitan z Köpenick, który także w Polsce z powieści i filmu, nie przypuszczał zapewne, że kiedyś w rozslawionej przez niego miejscowości, dziś dzielnicy Berlina, aż 300 uczniów zapragnie zostać stolarzami. A tak właśnie stało się w 1984 roku. Dla miejscowych władz był to dość twardy orzech do zgryzienia. Jak wyjść naprzeciw zainteresowaniom licznej grupy w sytuacji, gdy nie ma tak dużego zapotrzebowania, a na kandydatów na stolarzy oczekuje w zawodówkach tylko 70 miejsc? Jak pogodzić życzenia młodych, ich rzeczywiste predyspozycje do konkretnego zawodu z możliwościami placówek oświatowych i potrzebami gospodarki? W poszukiwaniu odpowiedzi na te i inne pytania moim przewodnikiem była Brigitte Zabel, z wykształcenia pedagog, a w pracy dyrektorka Centrum Poradnictwa Zawodowego właśnie tej dzielnicy, gdzie ujawniło się aż tylu entuzjastów obróbki drewna.

Dla porządku przypomnę, że u naszych sąsiadów za Odrą każdy uczeń ma obowiązek ukończenia 10-letniej ogólnokształcącej szkoły politechnicznej. Zainteresowani sprawą Czytelnicy „Głosu” z pewnością wiedzą, że w dziesięciolatce młodzież obojętnej płci zdobywa w warsztatach szkolnych, a także w fabrykach i na roli, ogólne obycie z pracą, narzędziami, podstawowymi maszynami, potrzebne w wielu zawodach, a także w życiu. Ale zawód z maturą lub

ni u władz lokalnych, by do każdego zakładu pracy w ustalonym terminie dotarła odpowiednia liczba fachowców, a ich ewentualne nadwyżki znalazły dla siebie pracę w innych regionach. Rzeczą poradni i ich współpracowników jest znaleźć odpowiednie argumenty, by każdy chłopak czy dziewczyna wybrał drogę zgodną z ich możliwościami i predyspozycjami, a zarazem potrzebami gospodarki, kultury i oświaty.

W każdej szkole są nauczyciele zajmujący się preorientacją zawodową. Prowadząc ucznia przez dziesięć lat, zespół pedagogiczny ma możliwość poznać jego cechy charakteru i uzdolnienia. Opinia pedagogów ma niemały wpływ na dalszy tok nauki absolwenta dziesięciolatki, zwłaszcza w szkołach średnich z maturą, gdzie kierowana jest najzdolniejsza młodzież, potencjalni studenci wyższych uczelni. Odniosłem jednak wrażenie, że poradnie troszczą się nadzwyczaj o rodziców, jakby nawet bardziej niż o uczniów, pozostawiając tych ostatnich przede wszystkim szkole.

RODZICE W WYSOKIEJ CENIE

Dorośli odgrywają dużą rolę w kształtowaniu szkolnej kariery swych dzieci. Te opiniotwórcze możliwości są w pełni doceniane. Ale przykłady emancypowania się uczniów spod tych wpływów są, jak

mniani pracownicy pozostają z nimi w ścisłych związkach, ale nie pomijają też szkół. Pięć największych kombinatów z Köpenick utrzymuje stałe kontakty także z rodzicami swych potencjalnych pracowników. Przemysłowi potentaci mogą sobie pozwolić na jednoczesną współpracę z poradnią, szkołami i rodzicami, ponieważ zajmują się tymi sprawami etatowi fachowcy.

W dobrze pojętym interesie własnym wszystkie berlińskie fabryki i instytucje dwa razy do roku zapraszają do siebie młodzież szkolną z różnych klas w celu jej pozyskania. Często wraz z dziećmi przychodzą ojcowie lub matki. Zainteresowani znajdują zachętę do tych odwiedzin m. in. we wspomnianym już biuletynie centrum poradnictwa zawodowego.

Poprzestanie tylko na wspomnianych kontaktach mogłoby mimo wszystko doprowadzić do nadmiernej żywiołowości i zbyt dużej liczby przypadkowych decyzji przy wyborze zawodu. Ten pogląd pracowników centrum preorientacji oparty jest na doświadczeniach z przeszłości. Aby tego uniknąć, od klasy VII począwszy każdy uczeń raz do roku wypełnia rubrykę zwaną umownie „wybieram zawód” w specjalnym kwestionariuszu, który towarzyszy mu w kartotece poradni aż do ukończenia klasy X. Jest to jakby syntetyczny

by nie pojawiały się zbyt duże luki kadrowe w specjalnościach deficytowych. Dlatego tak poradnia, jak też inne zainteresowane instytucje propagują dziś wśród chłopców takie zawody, jak betoniarz, browarnik, ogrodnik terenów zielonych w miastach, zdun, frezer. Dziewczęta zachęca się do elektrotechniki, pracy w centrach obliczeniowych, przemysle mięsnym. Oferuje się im też malarstwo pokojowe i maszynopisanie. Do poradni zaprasza się także tych uczniów, którzy wprawdzie podjęli decyzję, ale z jej realizacją mogą być kłopoty. Jak na przykład zaspokoić zainteresowanie stolarką aż 300 wspomnianych chłopców z Köpenick, gdy szkoły dysponują tylko 70 miejscami? W trakcie spotkania z przedstawicielami wszystkich zainteresowanych zakładów okazało się, że młodzi ludzie niewiele wiedzieli m. in. o cieście, stolarce budowlanej, modelowaniu. I właśnie w tych zawodach część z nich odnalazła swoje miejsce, nie rezygnując z kontaktów z ulubionym drewnem. Znalezione więc wyjście i nikt nie próbował upychać uczniów w szkołach budowlanych tylko dlatego, że były tam miejsca. Podobnie postępowano w przypadku nadmiaru kandydatek na fryzjerki i kosmetyczki.

WERBUNKOWE FORMULARZE

W październiku wszyscy uczniowie klas X rozstrzygają ostatecznie, gdzie będą kształcić się dalej. W tym roku w Berlinie wobec takiej decyzji stanęło 16 tys. dziewcząt i chłopców. Aby uczniowskie chęci nie rozminęły się w przyszłości z zainteresowaniami pracodawców, poradnie w całym kraju wysyłają w październiku do zainteresowanych fabryk i instytucji specjalne formularze werbunkowe. Aby tak pracodawcom, jak młodzieży, uniemożliwić manipulowanie tymi formularzami, przysyła się w imieniu ucznia tylko jeden blankiet. Powinien on wrócić z podpisem dyrektora zakładu nie później niż 9 listopada. Poradnia w Köpenick wysłała 1200 takich kart, bo tylu szykuje się absolwentów. 6 listopada w trakcie mojej wizyty oceniano, że 75 do 80 proc. powróci z akceptacją dyrektorów. Pozostali uczniowie będą musieli jeszcze raz zabiegać o odpowiednie dla siebie miejsca. Oczywiście, przy pomocy poradni.

W ostatnim roku nauki w szkole zawodowej uczeń podpisuje z zakładem ostateczną umowę o pracę. Wynikające z tego zobowiązania mają jednak charakter świadomie jednostronny: pracodawca musi zatrudnić absolwenta, ale ten może przystąpić do pracy zupełnie gdzie indziej. Ma wolny wybór i część młodzieży korzysta z tej możliwości, wiążąc się z atrakcyjniejszą, jej zdaniem, fabryką. W NRD nie przywiązuje się ucznia prawnym łańcuchem do konkretnego miejsca. Wydatki poniesione na kształcenie bilansują się w końcu w ogólnym budżecie ku ogólnemu pożytkowi, ponieważ absolwenci podejmują pracę prawie zawsze zgodnie z wyuczonym zawodem. Ta możliwość wyboru eliminuje ewentualne bariery psychologiczne, które utrudniają start zawodowy.

Z tego skrótego, z konieczności, przeglądu spraw wynika, że poradnia ma wiele obowiązków. W Köpenick w kilku skromnych pomieszczeniach po sklepie dyrektorka wraz z piątką specjalistów, przy pomocy dwóch pracowników technicznych, utrzymuje kontakt z 27 szkołami dziesięcioletnimi i 55 zakładami. Tak nieliczny zespół prowadzi kartotekę wszystkich uczniów od VII klasy, koordynuje wszystkie działania, dba o kwalifikacje współpracowników zajmujących się poradnictwem w zakładach, pamięta o młodzieży z FDJ, a zwłaszcza o rodzicach. Ponadto personel znajduje czas na organizację wieczornych imprez o interesującej nas tematyce dla nauczycieli i uczniów. W trakcie roku szkolnego pracownicy centrum udzielają około 3 tys. indywidualnych porad zawodowych uczniom „problemowym” i rodzicom.

Jak mnie zapewniał przedstawiciel rządowej instytucji koordynującej działania na tym polu, tak w zasadzie dzieje się w każdym z 236 centrów poradnictwa w NRD. Oczywiście, występują między nimi pewne różnice, choćby w powiatach typowo rolniczych. Różnią się metodami oddziaływania, stosownie do lokalnych możliwości, ale wszystkie spełniają w miarę skutecznie podstawowe funkcje. Nie przychodzi to łatwo. Zdarzają się niepowodzenia. Ostateczny rezultat zależy od zaangażowania personelu. Z jego udziałem, przy stałej współpracy z przedstawicielami przemysłu, władze państwowe doskonale wprowadzony w 1976 roku system. W najbliższych latach przewiduje się pewne zmiany z uwagi na szybkie unowocześnianie wielu gałęzi przemysłu. Postępująca automatyzacja, nowoczesne technologie i techniki elektroniczne skłaniają do przewartościowania niektórych poglądów obowiązujących w orientacji zawodowej młodzieży.

JERZY KRASNIEWSKI

STOLARZE Z KÖPENICK

KORESPONDENCIA WŁASNA Z NRD

bez niej zdobywa się dopiero w szkołach wyższego szczebla. Każdy absolwent szkoły obowiązkowej ma do wyboru 2-letnie szkoły zawodowe odpowiadające naszym zasadniczym oraz 3-letnie szkoły zawodowe z maturą, głównie techniczne. Zwolennicy innych profesji mogą uczyć się także w 3-letnich szkołach przygotowujących średni personel medyczny, nauczycielki dla klas najmłodszych, wychowawczynie przedszkoli, pracowników świetlic, domów dziecka, a także kadre dla organizacji pionierskiej. Prawie pewną przepustkę na studia dają 2-letnie licea ogólnokształcące.

W ostatnich latach średnio 75 proc. absolwentów 10-letniej podstawowej nauki w szkołach zasadniczych. Z praktyki wiemy, jak trudno pokierować takim strumieniem młodych ludzi. Nasi sąsiedzi też mają problemy, ale rozwiązują je zupełnie inaczej.

Köpenick jest największą i najatrakcyjniejszą dzielnicą Berlina. Lasy i jeziora sprzyjają rekreacji. Ten niemały obszar zamieszkuje 120 tys. osób. Jest to zarazem główne centrum przemysłowe stolicy NRD, skupiające około 60 tys. pracowników. Wielki ośrodek elektroniki telewizyjnej (m. in. kolorowe kineskopy), zakłady elektrotechniczne, znana w Polsce fabryka transformatorów, centrum produkcji kabli (połowa wytwarzanych w całej NRD) — to niektóre z najważniejszych. Łącznie około 55 zakładów różnej wielkości, w których wzrost produkcji dziś i jutro uzależniony jest w niemałym mierzcie od dopływu młodych specjalistów.

REKĄ W REKĘ ZE SZKOŁĄ

Jeśli w całej NRD szkoły zawodowe przygotowują do 304 zawodów, a w Berlinie do 165, to w dzielnicy Köpenick aż do 70. Specjaliści i działacze społeczni poświęcają aż pięć lat pracy, aby z każdego rocznika doprowadzić do zawodówek planowaną co pięć lat liczbę kandydatów. Dzielnicowe centrum poradnictwa odgrywa w tym ważną rolę. Jest to zadanie nie do pozazdroszczenia z uwagi na wciąż utrzymujący się niż demograficzny.

Sieć 236 powiatowych centrów powstała osiem lat temu. W Berlinie jest ich 9. Wszystkie współpracują z władzami oświatowymi, ale im nie podlegają. W NRD nadzór bezpośredni nad nimi sprawuje kierownik działu kształcenia i poradnictwa zawodowego powiatowej, miejskiej lub dzielnicowej rady narodowej. Pośrednio troszczy się o poradnie ośrodek wojewódzki. Jeśli obowiązkami szkół, pozostających pod nadzorem wydziałów oświaty, jest przede wszystkim kształcenie i wychowywanie młodzieży, to działają zajmujące się m. in. poradnictwem troszczą się w imie-

ni usłyszałem, coraz liczniejsze przede wszystkim za sprawą grup rówieśniczych. Pewien wpływ mają okresowe mody lansowane przez prasę, a zwłaszcza TV.

W Köpenick ojcowie i matki już w szóstej klasie zapraszani są na spotkania preorientacyjne, gdzie — wraz z broszurą na temat możliwości kształcenia i pracy w najbliższym pięcioleciu — otrzymują porcję wstępnych informacji i zaleceń. W każdym Komitecie rodzicielskim, w każdej trójce klasowej zawsze jedna osoba zajmuje się poradnictwem zawodowym. Od klasy VII po X rodzice grupami tylko z jednego ciągu klas spotykają się co kilka miesięcy z przedstawicielami poradni, by zapoznać się z aktualnymi możliwościami szkół zawodowych i potrzebami rynku pracy. Raz na dwa miesiące przechodzą przez ich ręce kierowane zresztą także do uczniów, powielane komunikaty z centrum poradnictwa, które informują, kiedy i o której godzinie można odwiedzić określoną fabrykę czy instytucję, by zapoznać się z przyszłym zawodem dziecka i warunkami pracy. W ostatnim komunikacie, który przeglądałem w połowie listopada br., aż 50 pracodawców z całego Berlina zachęcało do odwiedzin. Obok wielkich fabryk podały swe adresy, urzędy pocztowe, szkoły, przedszkola, zakłady fryzjerskie, sklepy, dyrekcja dworca kolejowego, szpital.

Ważną transmisją jest związek młodzieży niemieckiej — FDJ. Organizacja ta poświęca wiele czasu poradnictwu zawodowemu. W każdej szkole jeden uczeń systematycznie zajmuje się tylko tymi sprawami. We wrześniu aktywiści zapoznają się z sytuacją w szkołach zawodowych i prognozami zatrudnienia. W trakcie roku szkolnego co 6—8 tygodni kontaktują się z przedstawicielami poradni, aby usłyszeć, co się dzieje w poszczególnych branżach i o czym informować swych rówieśników.

POZOSTAJE TYLKO PERSWAZJA

Zakłady produkcyjne stanowią specjalną kategorię współpracowników centrum poradnictwa. Wielu fabrykom, zwłaszcza dużym, zależy na przyszłych pracownikach. Te bogatsze i atrakcyjniejsze nie mogą jednak uprawiać partykularnej polityki kadrowej kosztem innych. Mogą zatrudnić tylko tylu młodych ludzi, ile przewiduje plan gospodarczy. Dyscyplina, zresztą nie tylko w tej dziedzinie, jest rygorystycznie przestrzegana. Pracodawcy nie mogą zmusić do podjęcia pracy nawet absolwentów prowadzonych przez siebie szkół przyzakładowych. Pozostaje więc tylko perswazja i argumenty ekonomiczne wobec młodych.

W każdym zakładzie poradnictwem zajmuje się rutynowany fachowiec. Skupia on w swych rękach wszystkie kontakty. Pracę wykonuje na ogół społecznie. Poradnia ma obowiązek dbać o jego kwalifikacje. Pracodawcy doceniają rolę poradni zawodowych w przekonywaniu. Dlatego wspo-



Zajęcia w Szkole Technicznej w Zwickau, w NRD. Fot. CAF

obraz zawodowych zainteresowań ucznia. Deklaracje zawarte w tym dokumencie mają jednak charakter niezobowiązujący. Jeśli chłopak czy dziewczyna nie podejmą decyzji do klasy VIII, a zdarzają się takie przypadki, są zapraszani do poradni na konsultację, na ogół wraz z rodzicami. Wszyscy zainteresowani wspólnie starają się znaleźć przyczyny oraz wyjście z sytuacji.

MŁODZIEŻ ZA MAŁO WIE

Kwestionariusz i osobista współpraca z uczniami ujawniają, że mimo prowadzonej na szeroką skalę akcji wyjaśniającej, młodzież ma zbyt mało informacji o poszczególnych, nawet wybieranych przez siebie profesjach. Im młodsza klasa, tym wybór jest bardziej przypadkowy. Potwierdzają to różnice w deklaracjach w czasie pięciu lat między klasą VII a X. W wielu przypadkach są zaskakujące. Przejrzałem kilkanaście ankiet. Gertruda M. w klasie VII chciała być fryzjerką, rok później — pielęgniarką, a w IX wybrała zawód techniczny. Po ukończeniu X zamierza podjąć dalszą naukę w przyzakładowej szkole fabryki kolorowych kineskopów. Herbert K. przeszedł drogę od strażaka do mechanika samochodowego.

Specjaliści niemieccy nie widzą nic zdrożnego w tym, że w klasie IX, a więc u 14-, 15-latków, pojawiają się w deklaracjach całkowicie nowe zawody. Wiek i postępująca wraz z latami dojrzałość robią swoje. Bywa, iż w klasie X zwłaszcza chłopcy zmieniają zdanie. Poradnictwo jest procesem pedagogicznym i rzecz w tym, by każdy znalazł to najlepsze dla siebie miejsce w życiu. Zarazem jednak dba się o to,

Z BLISKIEGO WSCHODU DO POLSKI

Decyzja gen. Władysława Andersa o ewakuacji polskich sił zbrojnych ze Związku Radzieckiego na Bliski Wschód była pogwałceniem dwustronnej umowy z ZSRR zawartej w 1941 r. oraz porozumienia wojakowego z tegoż roku. Przerzucanie przeszło sześciu dywizji piechoty polskiej do Iranu, trwające nieprzerwanie od marca do sierpnia 1942 r., było równocześnie eksodusem niezliczonej rzeszy kobiet i dzieci, które podążały za swoimi mężami, braćmi i ojcami.

Przymusowy pobyt Polaków na Bliskim Wschodzie sprawił, że co trzejwiecejsze umysły od pierwszej chwili zaczęły myśleć o założeniu polskiej szkoły powszechnej i polskiego gimnazjum w Teheranie. Wprawdzie istniała podległa Wydziałowi Oświaty przy Dowództwie Jednostek Wojskowych na Środkowym Wschodzie tzw. Szkoła Junaków, która potem znalazła się w gestii Szefa Oświaty Dowództwa III Korpusu, ale nie była ona przeznaczona dla kształcenia dzieci i młodzieży.

Z cudem ocalałych listów i notatek z tego niespokojnego okresu dowiadujemy się, że zamiar otwarcia szkoły podstawowej urzeczywistniony został już w pierwszym roku pobytu Polaków w Iranie. Znajdujący się w armii Andersa nauczyciele oraz nauczycielki wywodzące się z obrzmiej rzeszy cywilnych przesiedleńców, utworzyli Komitet Organizacyjny Polskiej Szkoły z siedzibą w Teheranie. Aktywnie działali na rzecz otwarcia polskiej placówki dydaktycznej między innymi p.p. Piekarski, Draczyński z żoną Ireną, Piotrowicz z żoną Wiesławą, Romanowicz lub Romanowski z żoną Kazimierą, Ogorzał, Rokita, Dumanowska, Dąbrowska, Sidor i inni. Za ich to sprawą liczba uczących się polskich dzieci systematycznie zwiększała się.

W trzecim roku istnienia teherańska szkoła polska przy ulicy Ferasi skupiała na początku roku szkolnego 110 dzieci. Ciągłe przetargi między Polskim Komitetem Organizacyjnym Szkoły a irańskimi władzami lokalnymi sprawiły, że rok szkolny 1944 zamiast w styczniu rozpoczął się z dwumiesięcznym opóźnieniem. Pierwsze półroczcie trwało od 9 marca do 28 czerwca, po czym dzieci miały dwa miesiące wakacji.

Drugie półroczcie miało 1 września 1944 r. rozpoczęło się z trzynastodniowym opóźnieniem. Miała na to wpływ nieustabilizowana sytuacja w obozach I, II i III, skąd mnóstwo osób cywilnych i zdemobilizowanych wojskowych na własną prośbę wyjechało z Iranu, by osiedlić się w Syrii, Libanie, Palestynie, Afryce czy nawet Meksyku. W efekcie tych migracyjnych ruchów, po wakacjach do szkoły zgłosiło się zaledwie 80 dzieci. W tej sytuacji władze miejskie w Teheranie przeznaczyły budynek szkolny na inne cele, a młodzież polska otrzymała nowy dom przy ul. Pahlewi z 4 klasami i kancelarią. Kadre nauczycielską tworzyli wówczas: p. p. Piekarski jako dyrektor (do 20 września), Miła (od 21 września jako dyrektor), Dumanowska, Draczyńska, lektor języka angielskiego (tubylec), p. Józef N.N. oraz katecheta. Ze starego budynku wykwaterowano mieszkające tam nauczycielki, które musiały na własną rękę szukać nowego lokum. Tak na przykład nauczycielka Dumanowska znalazła mieszkanie w sąsiedztwie ambasady ZSRR u emigranta osiadłego tu od 25 lat, za które przyszło jej płacić miesięcznie połowę poborów.

Pracujący zarobkowo Polacy otrzymywali, oprócz wynagrodzenia, deputatową odzież na przykład kobiety fasowały na rok dwie sukienki, spódnicę, kurtkę, dwie pary skarpet, obuwie i, oczywiście, środki higieniczne. Od 1943 roku z wielką pomocą przychodziła polskim emigrantom na Bliskim Wschodzie Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy (UNRRA). Z jej darów pochodziła pościel, koce, łóżka polowe.

Zajęcia kulturalno-oświatowe w szkole i poza nią były zminimalizowane. Uroczyscie święcono Dzień Konstytucji 3 Maja oraz Dzień Niepodległości Polski 11 listopada. Dzieciom wyświetlano filmy, organizowano spektakle teatralne. W drodze wymiany kulturalnej polska dzieciarnia urzą-

dziła pod koniec roku szkolnego 1944 przedstawienie dla dzieci perskich.

Życie towarzyskie Polaków w Teheranie sprowadzało się do wzajemnych odwiedzin w poszczególnych obozach, do wieczorów brydżowych i dyskusyjnych. Polacy dysponowali polską prasą typu: „W drodze”, „Parada”, „Orzeł Biały”, „Naokoło Świata”, „Tygodnik Obozowy”, „Kronika” oraz „Biuletyn”.

W szkole powszechnej uczono w oparciu o przedwojenne programy nauczania zdobywane w drodze wzajemnej wymiany. Nauczycieli pracujących w Teheranie odwiedzał, instruował i fachowej rady udzielał Stanisław Sztaba przebywający w Egipcie, Iraku i Palestynie, znakomity pedagog, esteta i filozof. (Po powrocie do kraju po wojennej tułaczce był pierwszym dyrektorem Państwowych Kursów Nauczycielskich w Przemyśle, przy ul. Basztowej — przyp. aut.).

Z teherańskiej szkoły powszechnej wielu nauczycieli odeszło do polskiego gimnazjum na terenie obozu II lub do Szkoły Junaków. Za ich to sprawą odbyła się 17 października 1944 r. pierwsza polska matura w Iranie, którą zdało 17 abiturientów. Przewodniczącym komisji egzaminacyjnej był p. Piekarski, a wizytatorem p. Piolucha (lub Piatucha). Potem odbył się komers, na którym nie brakło kwiatów, wrzuseń i łez.

20 października 1944 r. zakończyła się nauka w szkole powszechnej w Teheranie. Zaczęto czynić przygotowania do Świąt Bożego Narodzenia. Były to dla Polaków czwarte święta w sąsiedztwie Ziemi Świętej.

Kolejny rok szkolny rozpoczął się 3 stycznia 1945 r. Aczkolwiek nauczyciele otrzymali lepsze pobory (miejskie), to jednak prognostyk co do przyszłości polskiej szkoły nie był optymistyczny. Po prostu nie było kogo uczyć. Co dzień z Teheranu wyjeżdżały całe rodziny do innych krajów. W nowym roku szkolnym rozpoczęło naukę zaledwie 50 dzieci. W marcu sytuacja wyklarowała się ostatecznie. Władze poinformowały, że Polska Szkoła Powszechna w Teheranie z dniem 30 czerwca zostanie zamknięta. W marcu nauczyciele otrzymali wypowiedzenie pracy bez prawa poborów w lipcu i sierpniu. W tej sytuacji większość wyjechała do Libanu, osiedlając się bądź to w Bejrucie, gdzie działał „Dom Polski”, bądź w Ghazir. Ponieważ Bejrut,

miasto zwane perłą Bliskiego Wschodu, był zbyt kosztowny dla większości Polaków, ośrokiem polonijnego życia stał się Ghazir, w którym istniała już polska szkoła, a nowi nauczyciele zasilili tutejszą kadrę. Za wynajęcie pokoiku w mieście trzeba było płacić 25 liwrów, zaś pobory nauczycielskie wynosiły około 120 liwrów. Sytuacja materialna nauczycieli była więc lepsza niż w Iranie.

★

W Libanie organizacja roku szkolnego była identyczna jak w Polsce. Początek zajęć przypadał na wrzesień, a zakończenie nauki w czerwcu. Nauczycieli obowiązywał 24-godzinny wymiar czasu pracy w tygodniu. Warto wspomnieć, że w Ghazir istniało również polskie gimnazjum ulokowane w tym samym budynku co szkoła powszechna. Dyrektorem szkoły powszechnej był p. Kowalski.

11 listopada szkoła powszechna w Ghazir, wspólnie z miejscowym polskim gimnazjum, urządziła akademię z okazji Dnia Niepodległości Polski, którą to uroczystość zaszczepił swoją obecnością gen. Wiatr.

Ze strzępów starej korespondencji dowiadujemy się, że w Ghazir działało polskie harcerstwo. „... Harcerstwo urządziło św. Mikołaja w szkole. Moje pierwszaki wierzyły święcie w św. Mikołaja i diabła. Najwięcej bał się Dybczak, ciągle się tylko zęgnął.” (List p. Dumanowskiej z 9 grudnia 1945 r.).

Podobnie jak w szkole irańskiej, tak i tu dzieci uczyły się języka angielskiego. Wykładowcą był Arab na lekcjach języka polskiego dzieciom aplikowano dużą dawkę patriotyzmu, szczególnie dużo mówiono o Słowackim, który otarł się o Bliski Wschód.

Krąg polskich przyjaciół nie ograniczał się do rodzin Karczewskich, Juzwów, Jazowskich, Rodeckich, Pytlów, Korabów, Goleniów, Rogowskich, Studnickich, Lorenowiczów, ale w miarę upływu czasu powiększał się o coraz to nowe nazwiska. Fluktuacja rodzin była w tym okresie przeogromna jednakże sprawa powrotu do kraju chwilowo nie wchodziła w rachubę. Powszechnie głoszone, że wyjeżdżających do Polski czeka Sybir. Nie miały wpływu na nastroje miała inspekcja Polskich Sił Zbrojnych na Bliskim Wschodzie przez generałów Andersa i Pageta,

W niedzielę 6 stycznia 1946 r. w świetlicy ghazirskiej odbył się uroczysty odpłatek, w którym uczestniczyły panie: Janina Studzińska, Maryla Zaleska, Paulina Dziuganowska, Arianna Dumanowska, Stefania Kulonowa, Kazimiera Dumanowska, Rzepicka, Pytek, Radecka — łącznie 67 osób. W niemym smutku odczytać można było dręczące zebranych pytanie: Jak przetrwać, ile logiki a ile bezsensu w tym przetrwaniu, skoro wojna się już skończyła. Nieśmiało życzone sobie, by przyszły odpłatek obchodzony był już w kraju. Dla większości życzenia te się spełniły.

Od 11 lutego 1946 r. libańscy nauczyciele otrzymali podwyżkę płac, która objęła też zatrudnionych w szkolnictwie Polaków. W istocie rzecz nikt nie narzekał na warunki materialne, tym bardziej, że uchodźcy polscy mieli wsparcie w Zrzeszeniu „Przyjaciół Żołnierza Polskiego” z Brooklynu w Nowym Jorku. Żywo interesował się losem Polaków „Nowy Dom Polski” w Jerolimie oraz Polski Czerwony Krzyż w Kairze, nie mówiąc już o charytatywnej działalności UNRRA.

W pracy nauczycielskiej coraz więcej było zwątpienia aniżeli entuzjazmu. W Ghazir czekano wieści z szerokiego świata a te najczęściej przywoził do tutejszej szkoły Stanisław Sztaba. Wcielony do Armii Polskiej 6 września 1943 r. służył pod Dowództwem Jednostek Terytorialnych w Palestynie. Szefostwo Oświaty zleciło mu szkolenie junaków w Warsztatach Naprawczych Nr 339 oraz przygotowywanie junaków do egzaminów czeladniczych i majsterskich. Kilkakrotnie odwiedził on polską szkołę w Teheranie, a także w Ghazir. Nie ograniczał się on do udzielania fachowych rad, w sekrecie donosił o nastrojach wśród wojska i o pogłoskach na temat plebiscytu w armii oraz wśród rodzin wojskowych. Mając na trasie wędrówki Bejrut, Hajfę, Ismailę zawsze przyjeżdżał do przyjaciół z bagażem wieści.

★

Ożywioną działalność na terenie Ghazir prowadził Związek Nauczycielstwa Polskiego, którego prezesem był pan Juzwa. Zorganizował on dla związkowców liczne wycieczki krajowe i zagraniczne, między innymi do legendarnego miasteczka Biblios, do stolicy Syrii — Damaszku, gdzie zwiedzano zabytki architektury arabskiej, do rezerwatu cedrów libańskich i przepięknej grotty, do Tarablus (Tripoli), wreszcie do miasteczka Tyr na jednej z wysp u wybrzeży Syrii i do Sydonu, starożytnego miasta fenickiego na terytorium Libanu. Organizatorami i przewodnikami tych wycieczek byli oprócz p. Juzwy, dr Machalski, Dybczak i Tytel.

Koniec roku szkolnego nastąpił 15 czerwca 1946 r. I już nikt nie miał cienia wątpliwości, że jest to ostatni rok kształcenia polskich dzieci na ziemi libańskiej. Niedaleka przyszłość to potwierdziła.

Pierwszy większy transport ochotników do Polski wyruszył z Bejrutu w środę, 30 października 1946 r. Znalazło się w nim niemało nauczycieli z Teheranu i Ghazir. Statek „Rodos”, żegnany przez liczny tłum niezdecydowanych na powrót do ojczyzny, skierował się do Port Saidu, skąd wszyscy zostali przetransportowani samolotami do El Shatt. Koczowano tu w namiotach, przy znośnym wikcie, lecz w prymitywnych warunkach. Tu z Palestyny przybył również transport kilkudziesięciu osób chcących wracać do Polski. Przebywano tu 10 dni, a potem wszyscy zostali wywiezieni samochodami do Suez, gdzie czekał statek „Heliopolis”, który 10 listopada ruszył do Neapolu. Wiózł przeszło 170 osób, w tym większość Polaków. Była też grupa Palestyńczyków i Żydów. Było mnóstwo oficerów polskich w mundurach. Całym transportem kierowali p.p. Drązkowski i Bugajczyk.

„Heliopolis” zacumował w Neapolu 16 listopada 1946 r. Wszyscy przesiedli się do wagonów towarowych, które wyposażono w sienniki. Pociąg niezwłocznie ruszył w kierunku Rzymu. Następnego dnia repatrianci zostali rozlokowani w obozie repatriacyjnym UNRA, 10 kilometrów od Rzymu. Przebywali tam do połowy stycznia 1947 r. O nastrojach najlepiej poświadczy fragment zachowanego listu jednej z uczestniczek. Pod datą 1 stycznia 1947 r. pisze między innymi: „... Mówi się tu o wszystkim, czyta się różne pisma nawet „Orla”, słucha się radia (...) dyskutują ludzie na różne tematy, zupełnie logicznie. Dużo ludzi myśli tak, jak my. Jak do teraz, co widzę i słyszę, to nie ma obawy — bardzo dużo wojskowych i to oficerów i ochotników jedzie z nami. Nie ma dnia, ażeby ktoś nie zgłosił się. Już jest nas po każda liczba, kilka godzin temu przyjechało z Bombaju 40 osób. (-) Z nami jedzie dwóch księży i 40 siostr nazaretanek. Do zobaczenia w kraju. Wyjedziemy chyba po 10 stycznia 1947 r.”.

Po rozmowach z ambasadorem PRL w Rzymie, p. Kotem, który gości na terenie obozu repatriacyjnego, wszelka nieufność ustąpiła i wszyscy z tęsknotą oczekiwali rychłego wyjazdu z ziemi włoskiej do Polski.

MIECZYSLAW KRAJEWSKI
Przemyśl





SZKIC DO PORTRETU

PÓŁ ŻARTEM I CAŁKIEM SERIO

Portret ten powinien być bogaty, renesansowy, mienić się różnorodnymi barwami i tonami, akcentować zwłaszcza poczucie humoru, niedzisiejszą życzliwość i ogromną erudycję modela. No i naturalnie to, że jest on niezrównanym, choć posługującym się wielce oryginalnymi sposobami, wychowawcą. Jak tu jednak kreślić ów odświętny nieco portret, skoro dotyczy on redakcyjnego kolegi, z którym pracujemy na co dzień, i o którym, prawdę mówiąc, nie da się przelać na papier tego, co najcelniej go określa? Jak bowiem pisać o kawalerze unikalnych odznaczeń i laurów, a zarazem uwielbiającym psy, sytuacyjny dowcip i wyrafinowaną kuchnię? O legitymującym się bogatym dorobkiem autorze — i jednocześnie nie spieszącym się nigdy, mającym zawsze czas dla przyjaciół i umiłowanego Kaprysa (to arcysympatyczny pudel), gawędzącym z ochotą z każdym przypadkowym znajomym, koledze?

Jakkolwiek zdaje sobie doskonale sprawę, iż znajduję się między Scyllą a Charybdą i podejmuję się karkołomnego zadania, kreślę ów szkic do portretu autora około 40 książek dla dzieci i młodzieży z prawdziwą przyjemnością, licząc na wyrozumiałość czytelników i Jego samego.

Wszystko zaczęło się od Hodży Nasreddina — wyznaje „W opowieściach z czajchany” ich autor, a mój bohater (nie da się jednak uniknąć wzniosłych słów). — Przed kilkunastu laty zamysliłem napisać książkę zadań matematyczno-logicznych, przeznaczoną specjalnie dla tej młodzieży, która matematyki ani logiki nie lubią, z własnej woli nigdy by do ręki zbioru podobnych zadań nie wzięła. Pomysł dość przewrotny. Było oczywiście, że zadania należało ukryć w cyklu awanturniczych opowiadań, powiązanych perypetiami bohatera. No właśnie, tylko skąd wziąć odpowiedniego bohatera owych zagadkowych przygód? Mądrego, dowcipnego, a poza tym cieszącego się już jaką taką popularnością wśród czytelników. Z początku myślałem o Stańczyku (...), potem o Dylu Sowizdrzale, przysmyrzałem się również do barona Münchhausena oraz do króla Artura i Rycerzy Okrągłego Stołu z legend celtyckich. I wtedy najzupelniej przypadkowo, wpadł mi w ręce tomik tureckich anegdot o Hodży Nasreddinie (żeby było zabawniej, wydanych w języku czeskim). Tak, to był on. Wesoły kpiarz, rozumny, dokuczający emirowi, nie pozostawiający suchej nitki na dworakach, bogaczach i mullahach, zawsze stający w obronie biedaków. A ponadto żyjący w świecie pełnym egzotyki Wschodu, dającej autorowi jakże wdzięczne pole do popisu...

Wszystko więc zaczęło się od Hodży Nasreddina. I właściwie dzięki niemu nasz redakcyjny kolega, redaktor graficzny „Głosu” — Zdzisław Nowak został laureatem nagrody dziennikarskiej (naszego Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL) im. Kornela Makuszyńskiego, a kilka miesięcy wcześniej — uhonorowany odznaką „Za zasługi dla województwa ostrołęckiego”. Bowiem droga od zauróczenia owym wschodnim, znanym z salomonowych wyroków, mędrcem, który żył ponoć w późnym średniowieczu i do którego przyznaje się wiele azjatyckich narodów — Persowie, Arabowie, Turkmeni, Uzbegy — do legend kurpiowskich, drukowanych na łamach „Maciusia” — unikalnego tygodnika dla dzieci, wiedzy logicznej i konsekwentna droga. Wciąż przecież pozostajemy w ramach tej samej, tak ulubionej przez Zdzisława Nowaka tematyki egzotyczno-ludowej, pojmwianego w swoisty sposób „wesołego myślenia” (jak sam to określa) proponowanego dziecięcom i młodzieżowym czytelnikom.

Z wykształcenia artysta plastyk, z zawodu — grafik, z pasji i wyboru — zbieracz

li myśli”, podwójnych łamigłówek czy też do zastanowienia się nad tak absorbującym pytaniem, jak: dlaczego księżyc chudnie?

Oto właśnie dlaczego Zdzisław Nowak jest tak wybornym wychowawcą. Bawiąc uczy — myślenia, spostrzegawczości, uruchamia grę wyobraźni, rozwija zainteresowania, budzi zaciekawienie światem i ludźmi. A jak znakomicie potrafi rozmawiać ze swymi czytelnikami na spotkaniach autorskich! Bo zapraszany jest często do szkół, domów dziecka, szpitali dziecięcych. Szczególnie chętnie chodzi właśnie tam; z nieukrywaniem wzruszeniem wspomina wizytę w jednym ze szpitali na Oddziale Chirurgii Dziecięcej w Olsztynie, spotkanie z dziećmi astmatycznymi. Pomóc owym dzieciom zapomnieć choćby na moment o bólu i cierpieniu, zobaczyć na ich twarzach uśmiech, to ogromna, nieporównywalna z niczym innym satysfakcja — mówi.

Owe spotkania autorskie Zdzisława Nowaka z dziećmi, na których łączy umiejętnie literaturę, geografę, przyrodę, historię kultury, matematykę i jeszcze kilka innych dziedzin w zintegrowaną całość, to atrakcyjne, pełne niespodzianek spektakle teatralne — szczególnie interesujący rodzaj teatru jednego aktora. Autor niezliczonych przygód literackich i zagadek, spośród których wiele tłumaczono i wydano także za granicą, przynosi bowiem na nie niezwykle rekwizyty: najprawdziwszy owoc bawełny, kindżał, skórę jadowitej koby, czapkę z uszami haftowaną najczystszy złotem, kukielkę Hodży Nasreddina i jego osiołka, autentycznego glinianego smoka z Samarkandy, którym bawiły się dzieci jeszcze przed najazdem Czingis-chana... I, oczywiście, bogaty zbiór najróżniejszych zagadek, prezentowanych na specjalnych planszach.

Zabawa więc jest najprzedniejsza i nie raz już zdarzało się, iż dzieci opowiadały się za przedłużonym spotkaniem z Panem Nowakiem, a nie za telewizyjną „dobranocką”... Niedarmo przecież wygrał także konkurs, organizowany niedawno przez „Naszą Księgarnię” na najciekawsze książeczki dla najmłodszych z cyklu „Poczytaj mi mamó”; właśnie w tym roku ukazały się drukiem dwie nagrodzone pozycje „Oj tato co robisz” oraz „Ali-Baba i pasterz”.

Pasjonują go niezmiennie najróżniejsze gry: jednak nie te hazardowe, losowe, zależne od przypadku, ale gry wymagające walki, angażowania umysłu i wyobraźni, uczące myślenia.

— Niewymownej frajdy doświadcza człowiek ery sputników — dowodzi z przekonaniem — gdy odnajduje relaks w grze, która pasjonowała niegdyś legiony Cezara, jak: „ludus latruncularum” albo dworaków faraona; wojowników Tamerlana, którzy grali w szachy Timura, Maorysów, ludożerców zamieszkujących wyspy na Oceanie Spokojnym, co bawili się w „mutore”. Praktyka pokazuje, że miło zagrać w „do-guti”, tradycyjną grę Hindusów. Równie w „tablut”, zabawę planszową Eskimosów, wylowioną przed dwustu laty przez Linneusza. Pod inspiracją tych odkryć zdarzyło się nawet mnie zanotować in natura w Azji Środkowej, wśród kazachskich pasterzy owiec i wielbłądów, osobliwą grę towarzyską w „toguz-kumalak”, zwaną też algebrą czabanów.

Oto, co pochłania szczególnie naszego Zdzisława, przepraszam najmocniej, Zdzisława Nowaka. Już prawie od dwudziestu lat prezentuje zadania i łamigłówki logiczne na łamach „Trybuny Ludu” (w jej sobotnim wydaniu), a od niedawna — „Łamigłówki druha Maćka” na łamach „Maciusia”, dodatku do „Tygodnika Ostrołęckiego”, rozwiązywane z dużą uwagą przez dzieci z Wyszkowa, Tobolic, Małkini, Długosiodła — całej kurpiowskiej ziemi. Bo „Macius” — najmłodszy u nas tygodnik dla dzieci — dla nich właśnie jest redagowany. Spotykają się w nim z opowieściami i przygodami, których darmo szukały-

Laureatami nagród SD PRL im. Kornela Makuszyńskiego zostali również: red. Stanisław Aleksandrak — długoletni redaktor naczelny „Piomyczka” oraz red. Jadwiga Dąbrowska z TV — inicjatorka wielu akcji dla dzieci i młodzieży, między innymi znanego wszystkim „Klubu Pancernych”.

Nagrody przyznano po raz pierwszy w Polsce — 6 grudnia br. w siedzibie SD PRL w Warszawie. W skład jury — któremu przewodniczył red. Maciej Ziemiński z telewizji — wchodził m.in. red. naczelny „Głosu Nauczycielskiego”.

by w telewizji czy ogólnopolskiej prasie dziecięcej. Poznają legendy związane z ich regionem, najbliższą tradycją i pejzażem. Z Jarem pod Borutowym Dębem albo nad Wiedźmowym Bagnem. Czytają o imię Pankracym Dratewce, o dzielnym Selimie — księciu tatarskim... Poznają najróżniejsze legendy. Więc tę „O złotym obcasie Boruty i kurpiowskich kurpiach” opowiadającą o tym, jak to stara Kurpsiowa nauczyła ludzi wypłacać z lipowego łyka borowe chodaczki i jak to najpierw rajcowie, a w ślad za nimi i pozostali mieszkańcy w Ostrołęce i Łomży obuwie z łyka nazwali pogardliwie kurpiami, a noszących je puszczaków — Kurpiami; o głazie, jaki leżał tuż przy gościńcu wiodącym z Ostrołki i przypominał sylwetkę młodej dziewczyny; o tym „Jak zboże w karczynie wyrwasa tańcowało”, czy tłumaczącą „Dlaczego dobry las jest Dobrym Lasem?” (a jest taki niedaleko Nowogrodu).

Przedtem, oczywiście, było długie ślezenie w bibliotekach, szukanie źródeł, dokumentów, do których dotrzeć niełatwo, jako że są rozproszone i nie jest ich wiele. I były naturalnie, nie kończące się wędrówki autora po wsiach kurpiowskich. Trwające nierzadko do późnej nocy rozmowy z najstarszymi ich mieszkańcami. Trud się jednak opłacił. Dzieci Szczytna, Kolna i Ostrołki z niecierpliwością czekają na każdy kolejny numer „Maciusia”, przynoszący coraz to inne opowieści o Puszczy Kurpiowskiej czy Puszczy Białej, na skrajach których w niejednej gospodzie Borutowe diabły grają aż do dzisiaj...

Właśnie te legendy — choć naturalnie nie tylko one — przyniosły Zdzisławowi Nowakowi, w tym roku ustanowioną i w grudniu po raz pierwszy wręczoną, słoneczną nagrodę imienia Kornela Makuszyńskiego. A że autor „Szatana z siódmej klasy” i „Awantur arabskich” zawsze był Mu szczególnie bliski — za promienne spojrzenie na świat, za pełen ciepła, pozabawiony złośliwości, humor; że zna na pamięć obszerne fragmenty jego książek, zwłaszcza „Listu z tamtego świata” — owa nagroda tym bliższa jest Jego sercu.

Zbiegła się ona z egzemplarzami sygnałnymi kolejnej książki Zdzisława Nowaka poświęconej filozofowi z Buchary, który — zgodnie z przekonaniem sędziwych Uzbeków — stworzył humor i dowcip, i mnóstwo żartów, i który w pamięci ludzkiej istnieje od stuleci — z „Zagadkową ucieczką Hodży Nasreddina”. Nie wątpię jednak, iż o żadnej ucieczce mędrców godnego „dzieł grubych, grubszych od najtłustszego wielbłąda” i „kronik wielkich większych od indyjskiego słonia” — z naszych ład księgarskich nie może być mowy. Ze spotkamy się z Nim jeszcze nie raz za pośrednictwem Zdzisława Nowaka. A także z legendami kurpiowskimi. Ich nieustraszonego zbieracz i miłośnik złożył właśnie do druku w „Naszej Księgarni” książkę „Jak Bartek Bartnik ze zbojami po Zagajnicy gonił”. No i pewnie szykuje teraz kolejną czytelniczną niespodziankę.

Choć, jak zwykle, nie spieszy się i nie goni nieprzytomnie, jak to czyni obecnie większość z nas. Ma zawsze czas na chwilę zamyslenia i na dłuższą pogawędkę. Spokojnie i ze smakiem delectuje się życiem.

I to by było na tyle — o niezwykle poczynaniach miłośnika Nasreddina i Makuszyńskiego. Jak się okazuje, nie udało się uniknąć nadmiaru poważnego tonu, zbyt serio prowadzonych kresek i nieco pomnikowych nut. Tak to jednak bywa, gdy bierze się na warsztat dostojnych laureatów. Pozwólcie więc, że przynajmniej na koniec sparafrazuje znane nam tak dobrze porzekadło: bodajbys o swych znakomitych kolegach pisał... I bodajbys był zdany na ich niezawodne pióro! Oni Cię już urządzają...

HENRYKA WITALEWSKA

Prof. M. Bucheck

baśni, legend i anegdot ludowych, wielki miłośnik i znawca rozrywek umysłowych i zagadek; powtarza przy tym za Szczepanem Jeleńskim: „Zagadka jest jak wino: im starsza, im bardziej omszała, a nieodgadniona — tym lepsza”.

Przed legendami kurpiowskimi były liczne wyprawy do Środkowej Azji i książki poświęcone najdowcipniejszemu z dowcipnych, ludowemu filozofowi z Buchary: „Niezwyczajne przygody Hodży Nasreddina”, „Przykrótka koldra”, „Gdzie nie ma much” oraz zbiór legend uzbekich i opowieści ze współczesnego Uzbekistanu, dzięki którym Zdzisław Nowak został w 1974 roku pierwszym — i jak dotąd jedynym — zagranicznym laureatem Nagrody Literackiej I stopnia Leninowskiego Komsomolu Uzbekistanu.

Jego niespokojny, choć jednocześnie niezwykle zrównoważony duch, każe mu często wędrować i u źródeł poznawać to, o czym pisze. Pewnie więc dlatego u zapamiętałego łowcy i zbieracza mądrości, figli i celnych powiedzonek ludowych, których szuka wszędzie — w literaturze, pamiętnikach, kalendarzach — legenda pomieszana jest ustawicznie z dowcipem i anegdotą. A także z łamigłówką i zagadką. Nim na dobre zafascynował się Nasreddinem, wydał „Rozrywki umysłowe” — zbiór najróżniejszych zagadek i zgadywanek, a w kilka lat później — „Łamigłówki nie z tej Ziemi” dowodzące, że pomysł jest dobry na wszystko, zmuszające młodych czytelników do łączenia symboli, „karuze-

Pewnego razu niezwykły Timur, zwany przez wielu „Żelaznym Kuląsem”, zapytał przebywającego na jego dworze Hodżę Nasreddina:

- Afandi, jak sądzisz, co większe jest na tamtym świecie: raj czy piekło?
- Oczywiście raj jest znacznie większy, panie — odpowiedział mędrzec.
- Hm, a skąd wiesz, iż raj większy?
- Bo ludzi biednych więcej jest niż bogatych.

(fragment „Niezwyczajnych przygód Hodży Nasreddina”)

O ręce córki zasłużonego bohatera ateńskiego Temistoklesa ubiegało się dwóch ludzi, jeden skromny, pełen odwagi na polach bitwy, lecz ubogi oficer, drugi pyszny i bardzo bogaty. Wielki wódz znając obydwa doskonale wybrał pierwszego, mówiąc:

— Wolę człowieka bez majątku niż majątek bez człowieka.

(ze zbioru anegdot historycznych „Napoleon nosił rapier”)

ZAGADKI LAUREATA

Z PRZYGÓD MĄDREGO HODŻY

Zadanie pierwsze

Ku zdziwieniu gości Hodża Nasreddin wkroczył dziś do czajchany z kucharzem Bababullą pod rękę. Usiadł z nim razem, z podsuniętego przez gospodarza czajnika nalał mu uprzejmie zielonej herbaty, po czym rzekł głośno, tak by wszyscy słyszeli:

— Chcieliście wysłuchać niezwykłej zagadki, przyjaciele, więc jej zaraz wysłuchacie. Tym razem jednakże nie ja jestem twórcą opowieści, lecz kucharz Bababulla.

Z wielu miejsc odezwały się głosy protestu:

— Afandi, wolimy twoją. Bo cóż za zagadkę mógł wymyślić Bababulla? Człowiek to zany, wie, do czego nasypać gorzkich migdałów, a do czego słodkich orzeszków pistacjowych, zna się wyśmienicie na wszelkich potrawach, ale nie ma pojęcia o strawie duchowej. Teraz chodzi nam o pokarm dla duszy, a nie dla próżnych kiszek. Afandi, po co dręczysz nas Bababullą?

Mędrzec roześmiał się i odpowiedział:

— Nie ocenia się dnia przed zachodem słońca, o czcigodni. I wy nie powinniście wydawać sądu przed wysłuchaniem zagadki do końca. Niesłusznie lekceważyście Bababullę. Wymyślił zagadkę nie gorszą od dań książęcych. W imieniu kucharza opowiem ją krótko i nie tak smakowicie, jak by on to uczynił. Znać wszyscy pierożki samsa, na wspomnienie których w ustach robi się słodko, a na duszy błogo? Zagadka dotyczy właśnie samsy. Słuchajcie więc uważnie apetycznej treści.

Żeś odpowiedzi szukajcie nie w brzuchach, lecz w głowie.

Z pewnej ilości mąki zacy Bababulla wyrabia pewną ilość ciasta, z którego po rozwałkowaniu wycina aż dwieście czterdzieści trzy okrągłe pierożki. Natomiast ze skrawków pozostałych po wycięciu każdego trzech pierożków, po zgnieceniu i rozwałkowaniu można znów wykroić dalszą samsę. Bababulla chciałby was teraz zapytać, o czcigodni, ile pierożków da się sporządzić z całego ciasta?

Cisza zaległa herbaciarni. W powietrzu słychać było tylko przełykanie śliny. Każdemu bucharczykowi roily się przed oczyma potężne ilości smakowitych pierożków. Ile? O nie, tego nikt nie wiedział.

Czcigodni, a może wy wiecie?

Zadanie drugie

— Zemsta nie jest uczuciem godnym szlachetnego człowieka. Prawdziwe serce powinno być wyrozumiałe nawet dla ludzi, od których doznało krzywdy — tłumaczył Hodża Nasreddin kucharzowi Bababulle, nie przestając zaglądać do pieca ze smakowicie pachnącymi placzkami.

— Ależ, afandi, mówiąc to nie myślisz chyba o niewinnym figlu z kurzymi jajkami?

— Masz słusność. Na ten żart słowobrodzi sobie zasłużyli. Chodźmy więc.

Zaledwie kilka dni minęło od zagadki o pierożkach, gdy w czaj-

chanie pojawił się znów Hodża w towarzystwie mistrza patelni, dobrze wszystkim znanego Bababully. Tym razem kucharz dźwigał na brzuchu olbrzymi kosz przykryty barwnym aksamitem. Bez słowa ustawił ciężar pośrodku izby, na antalku odwróconym dnem do góry.

Sędziwi aksakałowie w milczeniu, z pozorną obojętnością, spoglądali na poczynania przybyłych. Jedynie kilku młodzików nie potrafiło utrzymać ciekawości na wodzy. Zbliżyli się do kosza, wyciągając szyję.

— Zany Bababulla poczuł się dotknięty lekceważeniem, jakie okazaliście mu podczas poprzedniej wizyty, kiedy to dostarczył wam zagadkę o samsie. Dziś żąda od was satysfakcji. Jeśli go nie przeprosicie, ukarze was w sposób przykładowy. Nigdy nie pochwalałem zemsty, jako zapłaty za doznana krzywdę, ale tym razem zgadzam się z kucharzem. Jego postępowanie jest słuszne i sprawiedliwe. Spójrzcie, czcigodni, oto zemsta kucharza Bababully.

To mówiąc Hodża Nasreddin gwałtownym ruchem ręki zerwał aksamit z kosza.

Garstka gapiów, stojąca najbliżej, w popłochu odskoczyła do tyłu, gubiąc sandały ku uciesze pozostałych gości.

Kucharz zachichotał głośno. Roześmiał się i Hodża.

— Znów źle oceniliście Bababullę, o czcigodni. Myśleliście zapewne, że w koszu ukrył jadowitą giurzę albo kobrę? Tak mógłby postąpić człowiek podstępny, o



Zadanie trzecie

Dwaj nasi znani książęta (znani z historii Polski, oczywiście) znajdują się na rysunku. Jakie imię noszą? (Rys. Z. Nowak)

duszy robaczywej. Kucharz do takich nie należy. Oto dowód. Kosz pełen jaj kurzych. Pięćset świeżych jaj ugotowanych na twardo. Proszę, każdy z was może wziąć sobie po pięć — jednakże pod warunkiem, że jutro rano potrafi zjeść je na czczo. Powtarzam, pięć jajek na czczo. Komu z was uda się dokonać tej sztuki?

„Jakiej znów sztuki? Pięć zwyczajnych kurzych jaj na twardo to porcja śniadaniowa nie przekraczająca możliwości dorosłego człowieka. Zdrowy rozsadek mężczyzny upora się z pięcioma jajkami i jeszcze czymś na dodatek. Zdaje się, że trafia się okazja, by utrzyć nosa Bababulle. Straci pięćset jaj, a satysfakcji nie uzyska żadnej” — tak rozmyślając, zgromadził się wokół kosza tłum łaknący darmowego śniadania kosztem Bababully.

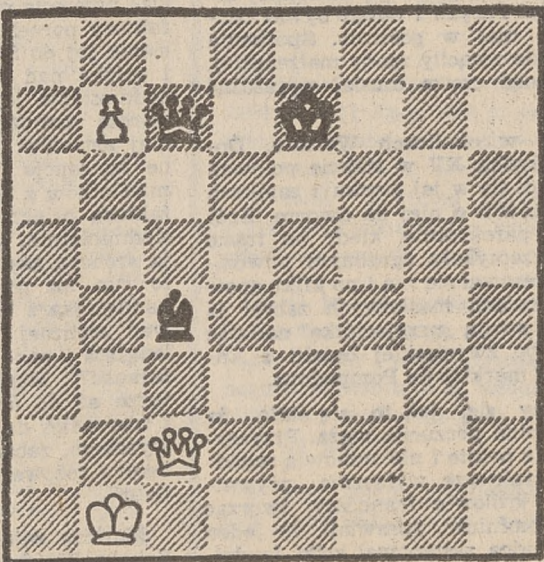
Tymczasem Hodża Nasreddin wraz z kucharzem na wyścigi wtykali po pięć jaj w nadstawio-

na dłoń. Tajemniczy uśmiech nie znikający ani na moment z ich oblicz świadczył, iż przedziwna zemsta Bababully bliska była spełnienia.

A co wy sądzicie o postępku kucharza? Czy znajdzie się wśród mieszkańców Buchary choćby jeden, który zdoła na czczo zjeść pięć jaj kurzych?

Wśród Czytelników, którzy nadesłały prawidłowe rozwiązania zadań (przynajmniej jednego) pod adresem redakcji w terminie 14 dni, z dopiskiem „Zagadki laureata”, rozlosujemy 15 najnowszych książek Zdzisława Nowaka „Zagadkowi ucieczka Hodży Nasreddina” wraz ze specjalnymi dedykacjami Autora.

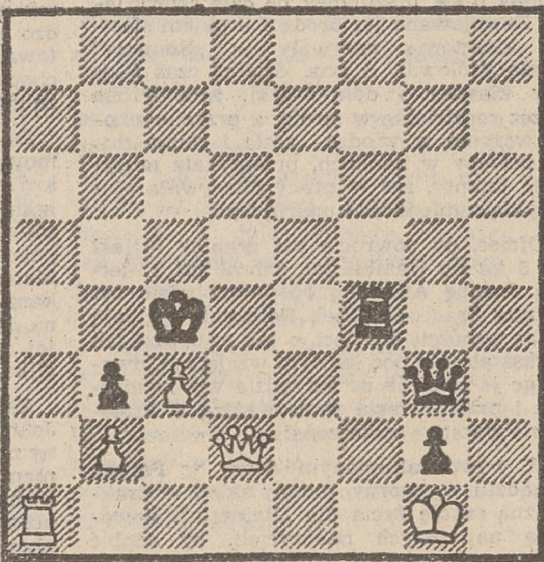
Zadanie nr 1 (5 pkt)



Białe zaczynają i wygrywają

Białe: Kb1, Hc2, B7
Czarne: Ke7, Hf7, Gc4

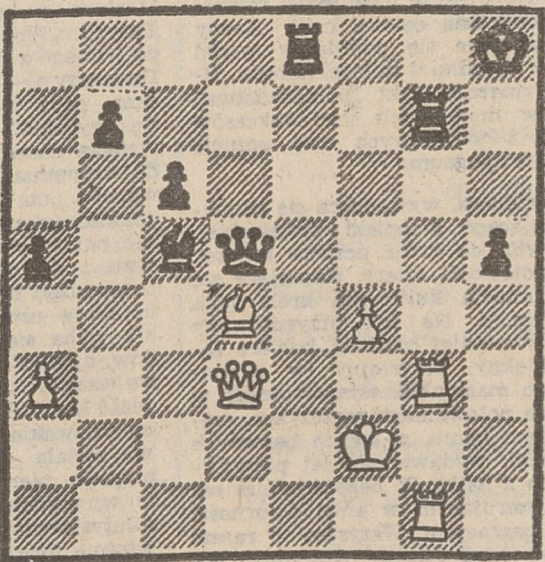
Zadanie nr 2 (5 pkt)



Czarne zaczynają i wygrywają

Białe: Kg1, Hd2, Wa1, b2, c3
Czarne: Kc4, Hg3, Wf1, b3, g3

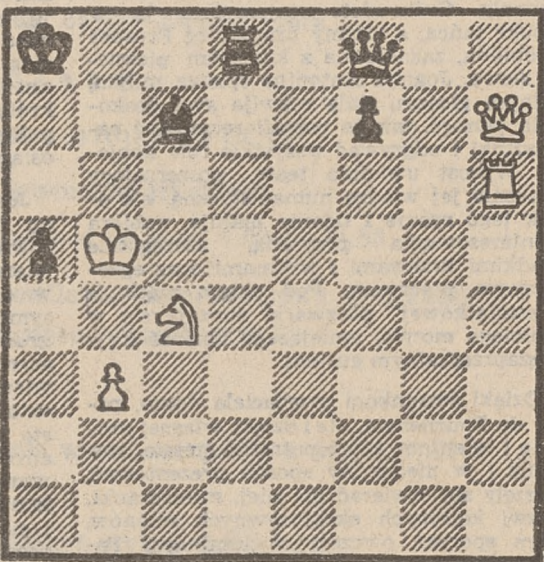
Zadanie nr 3 (5 pkt)



Białe zaczynają i wygrywają

Białe: Kf2, Hd3, Wg1, Wg3, Gd4, a3, f4
Czarne: Kh8, Hd5, We8, Wg7, Gc5, a5, b7, c6, h8

Zadanie nr 4 (5 pkt)



Białe zaczynają i wygrywają

Białe: Kb5, Hh7, Wh6, Sc4, b3
Czarne: Ka8, Hf8, Wd8, Gc7, a5, f7

Tradycyjnym zwyczajem pragniemy dać Koleżankom i Kolegom, miłośnikom szachów — możliwość spędzenia wolnych chwil świątecznych nad ciekawymi zadaniami szachowymi.

Rozwiązanie zamieszczonych obok końcówek z „gromowymi” posunięciami może dostarczyć każdemu wiele emocji i osobistej satysfakcji.

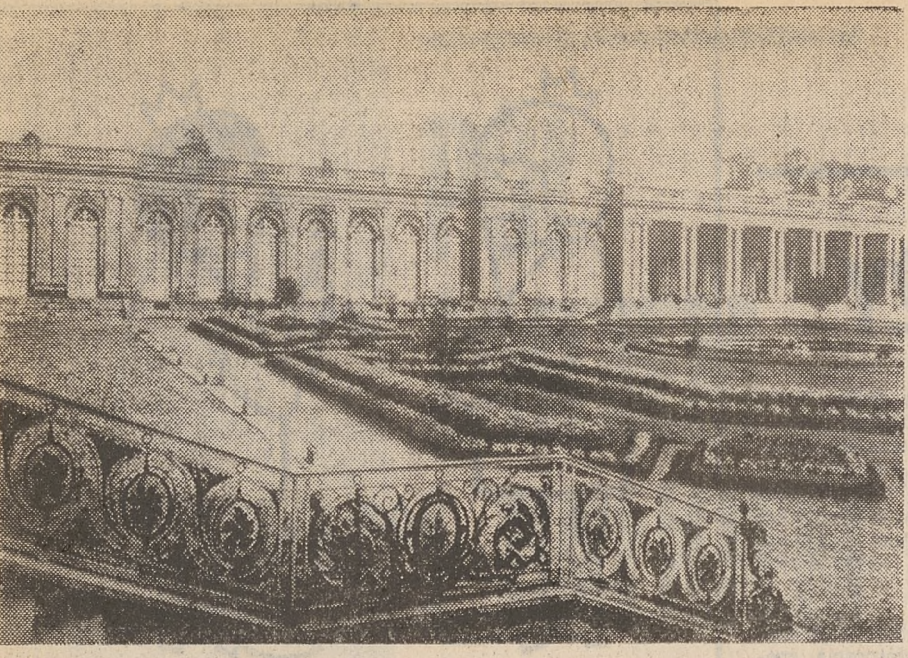
Miedzy uczestników konkursu, którzy zdobędą największą liczbę punktów, zostaną rozlosowane dwie nagrody w postaci bonów PKO po 1009 zł.

Rozwiązanie zadań należy nadsyłać do 20 stycznia 1985 r. pod adresem redakcji.

Życzymy przyjemnej rozrywki!

Bogdan Kusiński

ŚWIĄTECZNY KONKURS SZACHOWY



Fragment palacu w Wersalu

Fot. CAF

OBRONA MARKIZY DE POMPADOUR

TADEUSZ MIZIA

Wiek XVIII. Jak lekki i frywolny, a jak olbrzymiej dokonał roboty, jak zdumiewająca przebudowa świata. Oddając hołdy tym, którzy wnosiłi wtedy nowe wartości do dorobku ogólnoludzkiego, nie zawżę, niestety, pamiętamy o tych, które przy narodzinach owych wartości miały także swój znaczący udział. I nie tylko nie pamiętamy, ale niektóre znane postacie trochę krzywdzimy. Bo też często nie staramy się wniknąć w społeczną i obyczajową specyfikę owej — jakże różniącej się od innych — epoki.

Kobiety Oświecenia odegrały w tym okresie ważną rolę w kształtowaniu nowego człowieka, a w konsekwencji — w postępie cywilizacyjnym i kulturalnym ludzkości. W prowadzonych przez siebie salonach oraz przez własną w tych salonach i w ogóle w życiu towarzyskim aktywność stwarzały niezbędną dla luminary epoki inspirację i sprzyjające warunki dla powstawania nowych myśli, nowych wartości. Często w owym tworzeniu miały również swój własny udział. Długo można ciągnąć listę kobiet, zarówno z kręgów dworskich, jak i mieszczańskich, którym za to właśnie należało winna być wyjątkowa ocena i pamięć.

Nie wolno przy tym zapominać, że te korzystające z urody życia piękne panie czyniły prowadzone przez siebie salony — w sposób zamierzony lub niezamierzony — zarazem ważkim polem niezwykle finicyjnej walki klasowej „wzschodzącego” mieszczaństwa ze „zmierzającą” warstwą feudalną: że w salonach między innymi dokonywała się zębna dla feudalów infiltracja ideologiczna i personalna pierwiastka mieszczańskiego w ową „wyraźną”, „wypieruczoną”, „wyznaczoną” warstwę.

W myśli starożytności zasady „Sum cuiusque tribuere...” spróbujmy spojrzeć na świat jednoczący w owych oświeceniowych dam, niedocennej markizy de Pompadour (1721—1764). I nie w aspekcie jej roli jako „przyjaciółki” króla Ludwika XV. Spójrzmy na to, jak markiza Pompadour — ów klasyczny przykład infiltracji mieszczaństwa w sferę arystokracji — wykorzystywała swe możliwości w salonach, związane ze swą rolą królewskiej „przyjaciółki” i jakie z tego wynikały korzyści dla ogólnego postępu.

Joanna Antonina z domu Poisson przeszła drogę swego życia wśród ustawicznej, specyficznej dla ówczesnego mieszczaństwa francuskiego, walki o dorównywanie pod każdym względem uprzywilejowanej warstwie feudalów. Ojcem jej był Franciszek Poisson, wywodzący się z ródki z kaczki agent handlowy, przy dostawach

i sztuki, teraz sama nasiąka zainteresowaniami intelektualnymi, kulturem, rozwinęła w sobie subtelny smak, pozostawiając ślad na każdym jej działaniu.

★

Tak wyedukowaną córkę rodzice wraz z przyjacielem domu uznali za przygotowaną do zamążpójścia, naturalnie za człowieka z wyższej sfery. Spośród jej licznych wielbicieli wybór rodziców padł na dalekiego krewnego pana de Tournem, właściciela posiadłości Etoile. Był to wprawdzie człowiek raczej niezbyt reprezentacyjnej postury, ale należał do szlachty z dworskiego otoczenia i gwarantował żonie przez małżeństwo przywileje swego stanu. Szybko po ślubie Joanna Antonina zbudowała w Etoile gustowny zameczek, gdzie — za całkowitą aprobatą zakochanego w niej po uszy małżonka — otworzyła modny salon tym atrakcyjniejszy od innych, że wyposażony w prawdziwy teatr z dekoracjami i wszelkimi rekwizytami.

Dzięki wielostronnym talentom urocznej pani domu i wytworzonej przez nią atmosferze, salon przyciągał przedstawicieli arystokracji rodowej i intelektualnej. Szlachęcy panowie i działający przeciw nim mieszczańscy filozofowie i publicyści obcują przy tym samym stole, obok nich — naturalnie wśród pań z towarzyszy — zasiadają finansisci, prawnicy, wysocy urzędnicy królewscy. W pozornie beztroskiej, dowcipnej konwersacji szderają się ważne poglądy, istotne myśli, stanowiące materiał do późniejszych książek.

Oto Bernard Fontenelle, literat, ale przede wszystkim błyskotliwy filozof, obrońca i popularyzator nowożytnej nauki, jej odkryć i wynalazków, jeden z pierwszych nosicieli ideału nieskończonego postępu ludzkości; oto Karol Montesquieu, sławny ze swej walki z absolutyzmem pod maską „Listów perskich”; oto Prosper Crébillon, trzęsącą i grozą swych dramatów nawiązujący do klasycznych wzorów, stały gość wdzięcznej uczennicy; oto szyderca i demaskator feudalnych wypałów Voltaire, zarazem powiernik i przyjaciel „boskiej Etoile”; jak ją nazywał; że nie wspomnie o innych wybitnych osobistościach epoki. Te błyskotliwą i zawsze zjadliwą wobec feudalnej mentalności „burzę mózgów” urozmaicały, poza dobrą kuchnią, inne przyjemności. Pani domu we wspomnianym teatrze urządzała przedstawienia, sama tańczyła i śpiewała: jednym słowem czarowała całe towarzystwo. Prezydent paryskiej Akademii Francuskiej, Karol Hénault, tak o niej pisze do pani du Deffand: „Poznałem ją (w Etoile T.M.) jedną z najładniejszych kobiet, jakie widziałem w życiu. Jest to pani d'Etoile. Zna się doskonale na muzyce, śpiewa z werną i niebawym wdziękiem, umie śpiewać pieśni, odgrywa w Etoile komedie w teatrze nie brzydszym niż Opera, z własną maszyną i zmianami dekoracji...”. Hénault gościł ją następnie zimą u siebie w Paryżu i odtąd bywał bardzo często u niej w gościnie. Spotkania towarzyskie nie zmąciły zgody małżeńskiej, chociaż jej mąż często musiał wyjeżdżać za interesami.

Etoile leży w okolicach Wersalu. Domownicy Ludwika XV w trakcie polowań króla pojawiali się w jej zamku i zamkach sąsiednich, mówili o niej na dworze. Król zauważył ją parokrotnie, kiedy na trasie polowania przemysłka zgrabnym powożkim. Zainteresował się nią i po kilku spotkaniach na balach maskowych zabrał ją na dwór jako swoją „przyjaciółkę” nadając jej później, po zwycięskiej batalii z Anglikami, tytuł markizy de Pompadour.

Zastanówmy się, jak to się stało, że Joanna Antonina porzuciła męża. Przyczyny nie są takie proste i nie stanowią zagadnienia o charakterze wyłącznie „prywatnym”. Otóż, królowie francuscy, tworząc absolutu dominium, sprawiali, że jeden absolutny władca zastępował setki feudalnych władców partykularnych, zamienione aktualnie przezeń w święte, uświęcone dworskimi godnościami, a pozbawione władzy, otoczenie tronu. W nowych warunkach (już za Ludwika XIV, ale i wcześniej) „nne stany, a szczególnie mieszczaństwo, chronione przez władcę ze względu na gospodarcze interesy monarchii — zyskują większe możliwości rozwoju, czują konkretną opiekę króla. Każdy więc władca staje się popularny wśród mas, stanowi przedmiot miłości narodu. Uczucie to wzmacniał fakt „pomazaństwa” króla, zaś w momentach jego sukcesów politycznych i wojskowych owo uczucie osiągało swoje apogeum.

Joanna Antonina, wywodząca się ze stanu korzystającego z opieki królewskiej, również żywiła do króla uczucia miłości, wierności, gotowości ofiary, stającą się w ogólne uczucie kultu dla króla jako symbolu Francji. Na tak przygotowany grunt padały później bardziej kobiece fascynacje. Piękny, przystojny (w przeciwieństwie do małżonka), wysportowany w ustawicznych polowaniach mężczyzna, często na świątyni koniu, w swych barwnych strojach epoki, wydawał się jej prawdziwym królem z bajki. W bezpośrednim zaś kontakcie, czującym w swej dworności i elegancji partnerem. Wszystko to razem rozpalilo w sercu Joanny Antoniny płomień prawdziwej i właściwie pierwszej miłości.

Romans zamienił się wprawdzie z czasem w przyjaźń, ale markiza potrafiła za-

chować swój decydujący wpływ na króla. Mimo bowiem otaczającej ją zawiści, plotek, intryg dworskich, nawet mimo osobistych nieszczęść, jak śmierć córceczki Aleksandry, potrafiła zawsze zachować wobec króla pogodną i warz, umiała świetnie bawić swego władcę. Ów nerwowi, zmęczony i zgorzkniały już człowiek znajdował w jej niewyczerpanym bogactwie pomysłów ucieczkę od kłopotów i złych nastrojów. Markiza jest dobrym partnerem do rozmowy. Umie żywo ripostować, zna wszystkie plotki Wersalu. Rozmowa jest swobodna, bez etykiety. Król ucy się od markizy potocznojęzyka z jej mieszczańskiego stanu i gorzsy potem starych dworaków, używając publicznie przejętych od niej wyrażen. Markiza panuje nad poczynaniami króla. I to właśnie panowanie wyszło w dużym stopniu Francji na dobre.

★

Założywszy w siedzibie króla teatr, grywała przy odpowiednich okazjach współczesne komedie i opery. Stworzywszy dla zespołu arystokratycznych amatorów — przyjaciół obowiązujący regulamin, wprowadziła celowy ład i wysoki poziom artystyczny do swego teatru. Dzięki teatrowi spora stosunkowo grupa dworskiej arystokracji i szlachty poszerza swą wiedzę humanistyczną, wzbogaca swą osobowość. Chodzi tu zarówno o audytorium jak i o osoby grające kolejno wszystkie modne sztuki, w tym nawet Mollierowego „Świątoszka”, za którego wystawienie całe odium klerykalnych kręgów wzięła markiza na siebie. Wspólne zainteresowania wiązały „teatralną” grupę z markizą niemi wzajemnej życzliwości, bardzo jej przydatnej w tym dworskim „żmijowisku”.

To prawda, że w ciągu 20 lat swego pobytu na dworze wydała ponad 7 milionów liwrow, ale to była cena jej mecenatu. Wybudowała kilka zamków i pałaców, będących dziełami sztuki i wypełnionych jej wytworami. Ale to francuscy architekci wznosili te wspaniałe budowle, to francuscy rzemieślnicy je złočili i przyozdabiali, to francuscy ogrodnicy wycałowali z parków siódme cuda świata, to dzieła francuskich malarzy ozdabiali pałace. Malarze M.Q. de la Tour, J.M. Nattier, F. Boucher, J.B. Pigalle, E.M. Falconet z wdzięczności uwiecznili jej rysy na licznych portretach. Wszyscy oni — architekci, rzemieślnicy, ogrodnicy, malarze — zarobili sporo grosza za swoje prace i dzieła, ale równocześnie zyskiwali szanse wyjątkową dla dalszego rozwinięcia i udoskonalenia swej twórczości. Zamki, pałace, posagi w parkach i wnętrzach, owe cudowne dzieła z brązu, marmuru i porcelany nie tylko pokrywały pieniądze, ale przecież były i są dumą Francuzów, są im dostępne, nie mówiąc już o cudzoziemcach. Zresztą stawały się one własnością króla, a więc Francji.

Wiele trudu i zabiegów kosztowało markizę przejście przez dwór królewski manufaktury porcelany w Vincennes i przeniesienie jej do Sévres. Lepsza organizacja i opieka nad manufakturą spowodowały podniesienie jej wydajności. Markiza dostrzegła manufaktury wzorów, posyła do niej artystów, którzy zaopatrują w piękne koncepcje figuralne i rysunkowe rzemieślników z Sévres. Pełny rozwój manufaktury osiągnęła, kiedy w czasie wojny siedmioletniej król oddał do stopienia swoją srebrną zastawę stołową. Spowodowało to run na porcelanę, bo — jak notuje pamiętnikarz Barbier — „czy można używać srebrnej zastawy, kiedy największe książęta i panowie jadają w naczyńach z fajansu?”. Markiza patronowała manufakturze aż do śmierci, wzywając ją nieraz i nierzadko dając się skusić przepięknym wyrobom, zabarwionym nowym odcieniem koloru różowego, zwanym „różem Pompadour”.

Markiza zajęła się też sprawą założenia Szkoły Wojskowej, który to zamiar powzięła jeszcze przed zainteresowaniem się manufakturą. Związujać w 1750 r. zakład wychowawczy dla ubogich dziewcząt szlacheckich w Saint-Cyr, postanowiła utworzyć analogiczną szkołę kształcąca młodzieńców, chcących poświęcić się karierze wojskowej. Dzięki jej argumentom, król docenił wagę i znaczenie tego zakładu. Markiza szuka odpowiednich terenów w Paryżu. „Płoneg z niecierpliwością — pisze do jednego z dostawców funduszy, Paris-Duverneya — by sprawa stała się publiczną, gdyż wtedy już nie będzie można się wycofać”. Motywacja tego przedsięwzięcia charakteryzuje jej postawę. Pismo do wspomnianego Duverneya, że przedsięwzięcie „ma przynieść królowi nieśmiertelność, uszczęśliwić jego szlachtę i pokazać potężności jej przywiązanie do państwa i do osoby Najjaśniejszego Pana”. Gromadząc fundusze na budynek, markiza uzyskuje ustanowienie podatku od kart, nie waha się poświęcić własnych dochodów, by płacić robotnikom, wciąga w sprawę wszelkich, znaczących i mogących przynieść korzyść ludzi. Zwalcza w końcu wszystkie przeszkody. Szkoła Wojskowa została ukończona w lipcu 1756 r. i przyjęła pierwszych pensjonariuszy. Była to wprawdzie przyszła wierna kadra absolutystycznej polityki królewskiej, ale właśnie torująca drogę — w interesie gospodarczym państwa — wzrostowi francuskiego mieszczaństwa.

Przez cały czas pobytu na dworze markiza de Pompadour była wielką jałmużni-

czką, wydająca stale setki liwrow na kilkadziesiąt męskich i żeńskich księztorów. Wydziałała w tym zwłaszcza szkołę klasztorną s.s. urszulanek w Poissy, przez wzgląd na lata swego tam pobytu i paryski zakład s.s. Wniebowzięcia, gdzie wychowywała się jej córka Aleksandra. Szczegółowej jej opieki doznawali również ubodzy mieszkańcy z wiosek wokół jej zamków, zaś mieszkańcy Crécy otrzymali od niej, opłacony z jej własnej szkatuły, szpital. Do stałej troski o te instytucje markiza zobowiązała także w akcie sprzedaży następnego posiadacza zamku. Wreszcie należałoby wspomnieć o pensjach wypłacanych corocznie do śmierci dawnym służącym oraz o rentach, jakie po śmierci markizy jej brat Abel Marigny wypłacał punktualnie osobom z jej służby.

★

Osobno godzi się przypomnieć o opiece nad pisarzami, intelektualistami, „filozofami”. Wiele ich książek, niosących niebezpieczeństwo dla reżimu idee, cenzor królestwa, Krzysztof Malesherbes, przysyłał do czytania markizie de Pompadour i stała pod jej wpływem i urokiem przynajmniej na fakt ich publikowania. Mało, sam nabrał poglądów sprzyjających ideom mieszczańskich filozofów. Potrafił nawet ocenić przed konfiskatą policyjną materiały do Encyklopedii Francuskiej Diderota, przechowując je w krytycznym momencie u siebie, jako u osoby poza wszelkim podejrzaniem.

Mając wpływ na króla i na pełniącego obowiązki „premiera” Francji, księcia Choleseula, markiza stała się prawdziwym „ministrem łaski”. Niebezpieczna dla reżimu Jan le Rond d'Alembert zasiadał w dwóch akademiach, jeszcze bardziej niebezpieczny Voltaire otrzymał dzięki niej klejnot szlachecki i urząd dworski z misją pisaną dziełom. Ona spowodowała uwolnienie z więzienia w Vincennes Denisa Diderota, który odpokutowywał tam swą burzycielską publicystykę. Ona ochraniała i wspierała swą protektorką francuskie teatry, grające nieraz zbyt śmiałe — jak na owe czasy — sztuki. Ona pomagała Franciszkowi Quesnay'owi w lansowaniu nowej doktryny ekonomicznej, zwanej fizjokratyzmem. Uczestnicząc nieraz w spotkaniach w salonie Quesnaya, swego nadwornego lekarza w Wersalu, zainteresowała się jego doktryną. Głębiej poznała ją dzięki specjalnie dla niej opracowanej przez Samuela Piotra Duponta de Nemours rozprawie na ten temat. Przekonana o słuszności założen nowej doktryny ekonomicznej, spodziewała się, że stosowanie jej w praktyce zdźwigne francuskie rolnictwo, zaniedbane na skutek zbytniego holdownia przez rząd colbertowski doktrynie merkantylizmu. Choć prawda o drodze do poprawy gospodarki francuskiej „leżało pośrodku”, czyli w równym uznaniu roli ziemi i przy- mysłu w podnoszeniu dochodu narodowego, to lansowana przez fizjokratyzm „zasada wolności handlu była jednym z wyłomów w feudalnej strukturze, wyłomów zbliżających nadejście porządku kapitalistycznego.

Wróćmy na zakończenie jeszcze do sprawy Encyklopedii Francuskiej. Otóż kiedy pod wpływem kontrakcji konserwatywnych kręgów król zakazał sprzedaży tego wydawnictwa markiza de Pompadour zapobiegła temu ciosowi, stanowiącemu groźbę nie tylko dla kultury i cywilizacji Francji, ale — odwagę się powiedzieć — Euro- py. Uczyniła to w sposób sprytny, icsie kobiecy. Z góry wyreżyserowała z przyjaciółmi rozmowę — jaką się zwykle prowadziło na wieczornym spotkaniu towarzyskim w obecności króla skierowała ją na wyjaśnienie technik powstawania różnych użytecznych rzeczy. W ten sposób pośrednio zachećła władcę, wśród ogólnej wymiany myśli, do zasięgnięcia informacji o poruszanych sprawach właśnie w rzecznej encyklopedii. Po przyniesieniu odpowiednich tomów każdy z obecnych zajął się interesującymi go hasłami, zaś król zagłębił się w czytaniu artykułu omawiającego prawa k rony, wyraził przy tym zadowolone, iż poznał więcej nowych szczegółów. Widząc użyteczność wydawnictwa, a zarazem nie dostrzegając w nim zamaskowanego rewolucyjnego ostrza, król ostatecznie zakaz rozpowszechniania niebezpiecznej dla reżimu tomów, przynajmniej na razie dla subskrybentów. Skutki, z których sama markiza — ani nikt z obecnych — nie zdawała sobie sprawy, nie kazały — jak wiadomo — długo na siebie czekać.

Udział markizy w sprawach dotyczących polityki królestwa oraz jego ocena to temat na osobny artykuł. Z pewnością wszystko, co umaczało wielkość Francji, serdecznie ją obchodziło. O jej patriotyzmie świadczą wyłożony z prywatnej szkatuły milion liwrow dla wsparcia obrony francuskiej Kanady przed Anglią. Świadczy fakt, że zrujnowała się całkowicie, zainwestowany w budowę korsarskich okrętów, mających utrzymać „mocne” stanowisko Francji na morzach. Niestety, część tych okrętów nie dokończono, a część zatopił Anglik.

Markiza de Pompadour, wyczerpana ustawicznymi staraniami, zabiegami, nie ustawicznym trybem dworskiego bytowania choroba płuc, zmarła 15 kwietnia 1764 r. W momencie rozpoczynającej się agonii szepnęła żartem do zabierającego się ku drzwiom duchownego: „Jedną chwilę, księżę, odejdzemy razem”.

czka, wydająca stale setki liwrow na kilkadziesiąt męskich i żeńskich księztorów. Wydziałała w tym zwłaszcza szkołę klasztorną s.s. urszulanek w Poissy, przez wzgląd na lata swego tam pobytu i paryski zakład s.s. Wniebowzięcia, gdzie wychowywała się jej córka Aleksandra. Szczegółowej jej opieki doznawali również ubodzy mieszkańcy z wiosek wokół jej zamków, zaś mieszkańcy Crécy otrzymali od niej, opłacony z jej własnej szkatuły, szpital. Do stałej troski o te instytucje markiza zobowiązała także w akcie sprzedaży następnego posiadacza zamku. Wreszcie należałoby wspomnieć o pensjach wypłacanych corocznie do śmierci dawnym służącym oraz o rentach, jakie po śmierci markizy jej brat Abel Marigny wypłacał punktualnie osobom z jej służby.

PYTAJ - ODPOWIEMY

WYNAGRODZENIE ZA ZASTĘPSTWA

Proszę o wyjaśnienie, jak oblicza się wynagrodzenie za zastępstwo planowane, trwające 6 tygodni. Jestem bibliotekarką, czy powinienam otrzymać wynagrodzenie jak za godziny biblioteczne, czy też takie, jakie otrzymywałby polonista, którego zastępuje? (Bogumila W. — Siedlce).

Przepracowane przez nauczyciela dydaktyczne, wychowawcę lub opiekunów godzin doradnych zastępstw opłaca się według stawki jego godziny ponadwymiarowej (art. 35 ust. 5 Karty). Nie określono w sensie czasowym, co oznacza termin „doraźnie”. Należy więc przyjąć, że zastępstwo doraźnie może być nagłe i krótkie. A zatem można uznać zastępstwo 6-tygodniowe za stałe a nie dorażne. Wówczas należy wypłacić nauczycielom zastępującym wynagrodzenie, jakie przysługiwałoby nauczycielowi zastępowanemu (polonistcie w przypadku Koleżanki).

DODATEK ZA WYSŁUGĘ LAT

Moim podstawowym miejscem pracy jest spółdzielnia. W szkole jestem zatrudniona na pół etatu (9/18). W macierzystym zakładzie otrzymuję dodatek za wysługę lat. Czy powinienam otrzymać go także w szkole? (Alicja St. — Kalwaria).

Tak, ale dopiero po przepracowaniu trzech lat. Nauczycielom przysługuje dodatek za nieprzerwaną pracę w szkole zwany dodatkiem za wysługę lat, w wysokości 1 proc. wynagrodzenia zasadniczego za każdy rok pracy, począwszy od czwartego roku. Oczywiście, do wysługi lat liczy się tylko lata pracy w szkole, w której nawiązany jest odrębny stosunek pracy.

PRZEDŁUŻENIE URLOPU WYCHOWAWCZEGO

Urlop wychowawczy kończy mi się 8 czerwca 1985 roku. Dyrekcja twierdzi, że nie mogą mnie zatrudnić na te kilka dni czerwca i muszę skorzystać z urlopu bezpłatnego do końca sierpnia 1985r., czyli w wakacje też miałabym urlop bezpłatny. Czy nie ma z tej sytuacji wyjścia? (Wiesława R. — woj. Radom).

Zgodnie z rozporządzeniem Rady Ministrów z 17 lipca 1981 r. — w sprawie urlopow wychowawczych — termin zakończenia urlopu, wychowawczego na poczekaniu urlopu, wychowawczego nauczycielki powinien przypadać na dzień poprzedzający rozpoczęcie roku szkolnego (par. 21 ust. 2).

Jeżeli jest to uzasadnione terminem zakończenia urlopu wychowawczego, jego wymiar i okres ulegają odpowiedniemu skróceniu, a na wniosek nauczycielki — odpowiedniemu przedłużeniu (par. 21 ust. 3).

A więc urlop wychowawczy może być przedłużony tylko wówczas, gdy

nauczycielka wyrazi na to zgodę i wystąpi z wnioskiem.

NAGRODA JUBILEUSZOWA DLA PRACUJĄCEGO EMERYTA

Po przejściu na emeryturę cały czas pracuję na pół etatu w szkole. Minęło już 31 lat mojej pracy. Czy w tym przypadku należy mi się nagroda jubileuszowa, po 30 latach pracy, a jeśli tak, w jakim procencie? (Justyna Sz. — Panowie).

Tak. Nagroda jubileuszowa przysuguje Koleżance za 30 lat pracy w wysokości 150 proc. wynagrodzenia miesięcznego, które otrzymuje Koleżanka obecnie, pracując w wymiarze pół etatu.

DODATEK STAŻOWY ZA WRZESIEŃ 1984 R.

Od 1 września 1984 r. wprowadzone zostały nowe, podwyższone stawki uposażenia zasadniczego nauczycieli. W szkole, w której pracowałem oraz w innych, z którymi mam styczność, wypłacono nauczycielom 1 września 1984r. uposażenie zasadnicze za wrzesień 1984 roku według nowych stawek i według nich obliczone i wypłacone równolegle przysługujące „dodatki za wysługę lat”, zgodnie z Kartą Nauczyciela, ku zadowoleniu nauczycieli.

W szkole, w której pracuję moja żona, wypłaty tej dokonano inaczej. Uposażenie zasadnicze wypłacono według nowych stawek, ale dodatek za wysługę lat obliczono według stawek poprzednich. Natomiast według nowych obliczono i wypłacono go dopiero przy poborach za październik 1984 r. Czyli, że za wrzesień nauczyciele otrzymali dodatki te zaniżone. Na pytanie żony, kadrowa tej szkoły odpowiedziała, że wypłacono tak dlatego, że wszystkie dodatki płaci się z dołu, a więc i ten dodatek płatny jest z dołu i za wrzesień wypłacono jest ten z 30 września. Czy słusznie? (Henryk Oz. — woj. lubelskie).

Dodatek za wysługę lat jest wypłacany z dołu, w terminie wypłaty wynagrodzenia. Jeżeli nabycie prawa do dodatku lub — jak w omawianym przypadku — do wyższej stawki dodatku nastąpiło 1 dnia miesiąca, dodatek jest wypłacany według wyższej stawki. Natomiast jeżeli nabycie prawa do dodatku lub do wyższej stawki nastąpiło w ciągu miesiąca — dodatek według wyższej stawki wypłacany jest dopiero począwszy od pierwszego dnia miesiąca kalendarzowego, przypadającego po miesiącu, w którym nauczyciel nabył prawo do dodatku lub do wyższej stawki dodatku. (Kon.)

ZAKŁAD ELEKTRONICZNY

WYRÓB I NAPRAWA URZĄDZEŃ ELEKTRONICZNYCH

ul. Kożuchowska 63, 65-364 Zielona Góra

p o l e c a

elektroniczne zegary cyfrowe typ EP 101

do załączania dzwonków szkolnych,

z możliwością programowania od godz. 7.00 do 21.55.

Zegar posiada dodatkowe zasilanie akumulatorowe gwarantujące prawidłowe działanie w momencie zaniku 220 V.

Cena 59.800 zł.

Istnieje możliwość zamówienia wersji specjalnej z wieloma niezależnymi programami.

Do zamówienia prosimy dołączyć wykaz dzwonków.

K 325

PRACOWNICY POSZUKIWANI

INSPEKTOR OŚWIATY I WYCHOWANIA, Urząd Miejski 87-200 Wąbrzeźno, ul. Wolności 44, woj. toruńskie, zatrudni od zaraz małżeństwo nauczycielskie o specjalności: psychologia wychowawcza lub kliniczna oraz filologia germańska lub angielska. Dla rodziny zapewnia się mieszkanie. K 326

Dyrekcja ZBIORCZEJ SZKOŁY GMINNEJ 59-940 Węglino, tel. 32, woj. jeleniogórskie zatrudni z dniem 1 stycznia 1985 r. małżeństwo nauczycielskie o specjalności: wychowanie przedszkolne i matematyka. Zapewnimy 2-pokojowe mieszkanie z wygodami. K 328

OGŁOSZENIA DROBNE

HALSKA — małżeństwa krajowe, zagraniczne. Zary skrytka 12. 302

„NEPTUN” Gdańsk 50, Skrytka 7 — Dykretnie pomaga samotnym. Dla Pań oferty zagraniczne. 298

Małżeństwo — mgr psychologii z dodatkową specjalizacją z logopedii, mgr pedagogiki specjalnej — oboje z trzyletnim stażem pracy w szkolnictwie specjalnym podejmą pracę z dn. 1.09.1985 r. Warunek: mieszkanie rodzinne. Wiadomości: Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy, Niemieński-Zamek, 73-220 Drawno. E. K. Hal-kowicz. 308

„Małżeństwo po wyższych studiach uniwersyteckich (polonistka z sześciolletnim stażem pracy) podejmie pracę w większej szkole, w miejscowości podgórskiej. Warunek: mieszkanie służbowe. Oferty: Wydawnictwo Współczesne 00-490 Warszawa-ul. Wiejska 12, dla nr 324.

Nauczycielka — specjalność geografia (policealna), nauczanie początkowe (kontynuowane wyższe III rok) podejmie pracę na wsi. Warunek: mieszkanie rodzinne. Staż 14 lat. Chętnie od H. półroczu. Wydawnictwo Współczesne 00-490 Warszawa, Wiejska 12, Biuro Reklamy nr 327.

TYGODNIK ODZNACZONY

KRZYŻEM KOMANDORSKIM ORDERU ODDRODZENIA POLSKI

ZŁOTA ODZNAKA ZNP

MEDALEM KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ

KRZYŻEM ZA ZASŁUGI DLA ZHP

Redaguje zespół: Danuta Chrzczonowicz (sekretarz redakcji), Maria Kalliska (zastępca sekretarza redakcji), Teresa Konarska (dierownik działu), Jerzy Krasniewski (dierownik działu), Barbara Kozarska (redaktor techniczny), Zenobia Miller (dierownik działu), Bożena Niedziółka, Zbigniew Pawłowski (redaktor naczelny), Maria Rybarczyk (zastępca redaktora naczelnego), Witold Salski, Wojciech Sierakowski, Halina Szymczak (dierownik działu), Henryka Witalewska (dierownik działu), Zdzisław Nowak, Jan Rodek (redaktor graficzny), Kierownik administracyjny — Teresa Grochowska, korekta — Irena Kosielińska, Joanna Bratkiewicz.

Adres redakcji: ul. Spasowskiego 6/6, 00-399 Warszawa. Telefon: 26-10-11, 26-34-20, 27-66-30. Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzegamy też sobie prawo do ich skracania i opisywania tytułami. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” 02-017 Warszawa, ul. Nowogrodzka 84/86. Nakład 70 000 egz. NR INDEKSU 35823 PL ISSN 0017-1253 T-50

NAŁĘCZÓW ZAPRASZA

DO CHATY I PAŁACU

„Myślę w Nałęczowie urządzić sobie altanę w taki sposób, żebym w ciepłe dni mógł w niej przepisywać powieści. Stolik jaki i krzeselko pewnie się znajdą, słomianka pod nogi, atrament i pióro przywiezę z Warszawy, i do roboty” — tak pisał w liście do żony Oktawii, Stefan Żeromski. Marzenie urzędującemu się, a my mamy dziś drugie — (obok kieleckiego) — muzeum poświęcone pisarzowi. I choć mieści się ono nie w altanie, ale w letnim domku, tzw. chacie, musimy przyznać, że obce są mu pretensje do wystawności. Dość powiedzieć, że „chata” służyła pisarzowi i jego rodzinie za mieszkanie

w latach 1905—1908, dysponowała praktycznie jedną izbą. Utrzymana w modnym wówczas stylu zakopiańskim, zbudowana z drewnianych krokwi według projektu Jana Koszyc-Witkiewicza, spełniała funkcję pracowni, salonu, jadalni, sypialni, bawialni — miejsca, w którym znakomicie, pomimo ciasnoty, czuli się nie tylko gospodarze, ale i licznie odwiedzający goście.

Każdy szczegół był tu dokładnie przemyślany, każdy drobiazg łączył się z jakimś wspomnieniem. Dziś wchodząc do tego domu nie możemy oprzeć się wrażeniu nadmiernego stłoczenia. Zmieniała się moda, gusty, style. A ten dom odsłaniając fragmenty prywatności życia Żeromskiego, ma w sobie coś z atmosfery, która należy już do przeszłości.

Odnajdujemy tu portrety, książki, fotografie, obrazy, meble — przedmioty, z których każdy z osobna wart jest uwagi. Wiele pamiątek po przedwcześnie zmarłym synku — Adamie, jak choćby

rysunki czy porzucone w kącie narty. Przetrwwały obrazy Witkiewicza, Stanisławskiego, Bojczuka, Młodzianowskiego, a także pejzaże malowane przez panią domu. Na honorowym miejscu, tak jak niegdyś, jego chluba — angielski talerz z miniaturą opisaną w „Dziejach grzechu”, które podobnie jak „Róża” powstały właśnie w Nałęczowie. Mnóstwo drobiazgów, bibelotów, pamiątek. W głębi ogrodu — mała kapliczka, mauzoleum pochowanego tu Adama Żeromskiego.

Mikroklimat Nałęczowa, owej Mekki cierpiących na serce, sprzyjał pracy twórczej nie tylko autora „Ludzi bezdomnych”. Bolesław Prus napisał tu „Placówkę”. Dziś w północnym skrzydle parteru pałacu Małachowskich (wzniesionego w XVIII wieku), w którym mieszkał, przebywając tu wielokrotnie jako kuracjusz, mieści się muzeum jego imienia. Gromadzi materiały dotyczące życia i twórczości pisarza, ukazujące zwłaszcza jego związki z Nałęczowem i Lubelszczyzną. Wiele tu pamiątek, rękopisów, listów, fotografii, książek, czasopism. Zaglądając tu warto przy okazji zwiedzić pałac, a szczególnie jego pierwszą piętro z salą balową, będącą jednym z piękniejszych okazów świeckiego budownictwa rokokowego w Polsce.

BOŻENA NIEDZIULKA



Fot. L. Malicki

NIE TYLKO
O ROZKOSZACH STOŁU

MIODEM NIECH SZCZĘŚCIE PRZYLATA...

Nie masz to, jak onegdaj w starych dworach bywało. Bo też umieli dogadzać sobie — i to nie tylko z okazji świąt — nasi przodkowie. I to jeszcze całkiem niedawno.

„Kucharka miejska i wiejska drugi raz wydana i poprawiona” z 1804 roku podawała taki oto przepis „potrawy w dobrej jusze (czyli w sosie) albo po królewsku”: „Weź jarząbka albo kuro-patwę, ptaszki albo goiabki, kapłuna albo cielęcinę, albo co chcesz, wymocz, spuść w garniec, zasól, odwarz, odmierz, nacedź znowu tym rosołem i pietruszki wóń, a gdy dowiera wleń gąszczu, octu, słodkości, szafranu, pieprzu, cynamonu, rodzynek obojga, limonii, przywarz, a daj na miś”.

Skarżono się jednak, iż przepis ten jest mało precyzyjny i trudno na jego

podstawie sporządzić owo wyszukane danie. Dokładniejsze przepisy podawała słynna Lucyna Cwierzakiewiczowa — toteż jej prace cieszyły się ogromną estymą wśród pań domu, a najstojniejsza z nich — „365 obiadów za 5 zł” (gdyby tak dziś było to możliwe!), wydane po raz pierwszy w 1860 roku, doczekało się przeszło dwudziestu wydań.

Kilkadziesiąt lat wcześniej Klementyna Tańska pouczała młode dziewczęta w „Pamiętce po dobrej matce”: „Przysmaczek przez ciebie przyrządzony więcej ci daleko ukontentowania sprawi, jak gdybyś go kupić kazała”. Dotyczyło to również wszelakich domowych trunków, których nieskończone zalety wychwalały przeróżne przysłówki. Jedną z nich zachęcała:

„Dajmy, bracia, wzór dla świata
Pijąc własne trunki
z miodem niech szczęście przylata
Piwo na frasunki”.

Wśród owych zachwalanych trunków była winna polewka przynoszona starodawnym zwyczajem po nocy poślubnej, do sypialni państwa młodych, nader lubiana polewka „z gorącego, śmietanki bielonego piwa”, aromatyczne nalewki na ziołach lub owocach — nie słodkie jednak, lecz wytrawne, by zaostrzały apetyt...

Niektóre z nich przechowywano w domowych apteczkach, pełniły bowiem rolę niezawodnych leków. W apteczkach tych stały też zawsze butle rumu i araku, z których przyrządzano wymsłone aromatyczne poncze, „kardyna-

ły” i płonące desery... A w starych dworach były „apteczki przyjemne” i lecznicze. W tych drugich przechowywano też nierzadko herbatę, uważaną naówczas za ziółko skuteczne na ból głowy, nie zaś za napój, który by można pić ze smakiem. Jeszcze w 1811 roku słynny botanik Krzysztof Kluk przypisywał herbacie same szkodliwe właściwości: „Gdyby nam Chiny wszystkie swoje trucizny przysłały, nie mogłyby nam tyle zaszkodzić, ile swoją herbatą (...). Często używanie owej ciepłej wody osłabia nerwy i naczynia do strawności służące (...). Dzieciom i młodym osobom zawsze jest szkodliwa”. Z kolei Jędrzej Sniadecki przestrzegał, iż herbata „może wskakże w czulszych i delikatniejszych damach sprawić na moment skutki podobne do owych, jakie sprawiają wina na mężczyznach”. Toteż wytrworne damy (nieraz jeszcze w łóżku) pijały najczęściej czekoladę doprawioną cynamonem lub wanilią. Dużym uznaniem cieszyła się też kawa, o której pisano, że „rozkwieca serca, budzi koncepta, zapala wyobraźnię”...

O owych znakomitych trunkach, różnorakich, biesiadowych obyczajach i zabawach, tudzież innych arcyciekawych rzeczach opowiada Elżbieta Kawecka w książce „W salonie i kuchni”, będącej opowieścią o kulturze materialnej pałaców i dworów polskich w XIX wieku. Ow „salon i kuchnia” to znakomity prezent pod choinkę i naturalnie, smakowita lektura na świąteczne dni. Spożywać, rzecz jasna, tylko ze staropolską nalewką...

HENRYKA WITALEWSKA



Rysował: Andrzej Stok